MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 42. WARSZAWA, 13 PAŹDZIERNIKA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ANGLJA i WŁOCHY

KOŚCI rzucone: wojna włosko-etjopska rozpoczęta!

Na łamach „Myśli Narodowej", w szeregu artykułów oceniano ze stanowiska ludzkości, moralności politycznej, prawa międzynarodowego i t. p. abstrakcyj wojownicze zamiary Włoch względem państwa negusa. W niniejszym pragniemy rzucić na zatarg włosko-abisyński nieco światła z innej strony, przez zwrócenie uwagi na rolę Anglji w tym, oddawna grożącym, konflikcie.

W dziejach stosunków włosko - abisyńskich Anglja od kilkudziesięciu lat brała bardzo wybitny udział, można nawet powiedzieć, iż to, jak się owe stosunki układały, należy jej przypisać. Oto trochę historji: w początkach akcji kolonjalnej Włochów w Afryce, Anglja nietylko jej się nie sprzeciwiała, lecz nawet współdziałała w tem z Włochami. Pozwala ona na zajęcie Massawy (Massaouah), a następnie wskutek układu, zawartego z Włochami w Rzymie 1891 r. i uzupełnionego w 1894 r., upoważnia ich do zajęcia Kassali oraz zapewnia im „sferę wpływu", obejmującą część Sudanu egipskiego, Choa, Harrar, prawie cały Ogaden i kraj Somali aż do przylądka Gwardafui.

Postępując tak wspaniałomyślnie względem ówczesnych Włoch, Anglja wcale się nie liczy z prawem Egiptu do Sudanu, zapomina o ugodzie z Francją (1886 r.) w sprawie Harraru i o tem również, że negus Abisynji jest władcą terytorjum, na którem Włochom przyznało się swobodę działania.

Uznając na powyższych ziemiach „prawo" Włochów, Anglja, zdając sobie sprawę z trudności, z któremi tu się oni spotkają, może obliczała własne zyski, jakie będzie z tego miała w przyszłości. Że tak mogło być, może świadczyć fakt, iż po klęsce Włochów pod Aduą i opuszczeniu przez nich Kassali, ten ważny punkt właśnie został zajęty przez oddział wojsk angielsko-egipskich, pod wodzą pułkownika Parsons'a...

Są to jednak stare dzieje, przejdźmy więc teraz do nowych, do tych, co się rozwijają już pod opiekuńczemi skrzydłami Ligi Narodów.

W wiele lat po pierwszych paktach włosko-angielskich, dotyczących Abisynji, w grudniu 1925 roku — słowem w dwa lata po wejściu Etjopji do Ligi Narodów — pomiędzy Mussolinim i ambasadorem W. Brytanji w Rzymie, Ronaldem Graham'em, zostały wymienione dokumenty, ustalające bez cienia wątpliwości, iż Anglja uznaje nadal „sferę wpływu", przyznaną Włochom w Abisynji na mocy układu z 1891 roku, gdzie prócz tego podkreślono wyraźnie, że ewentualna koncesja dla Anglji, budowy tamy na jeziorze Tsana, znajdowałaby się w tej zonie włoskiej.

Rzeczy trwają tak przez dziesięć lat, aż tu nagle następuje zwrot w polityce angielskiej, i to, co Anglja przyznawała Włochom w 1925 roku,

uważa, iż w 1935 jej nie zobowiązuje, owszem wydaje się nawet bezpodstawnem uroszczeniem włoskiem. Zdziwiło to niektórych znawców stosunków międzynarodowych; a jeden z nich, profesor sławnego uniwersytetu katolickiego w Lowanjum, Terbinden, poświęcił temu rozprawę w perjodyku belgijskim „*La Revue des idées et des faits*", w której tak konkluduje: „Jest rzeczą jasną, iż w 1925 r. uznano ważność wszystkich poprzednich zobowiązań pomiędzy W. Brytanją i Włochami. Nie rozważano wówczas kwestji przyznania Włochom „sfery wpływu", gdyż prawo ich do tej zony było uznane jako działające *(en vigueur)* od lat czterdziestu".

Tą sprawą zainteresował się również znakomity pisarz angielski, Hilary Belloc, który prosił o jej wyjaśnienie redakcję „*Times*'a".

Musiało to bardzo nie przypaść do smaku temu pismu, gdyż „wyjaśnienie" jego wyraziło się jedynie mętną uwagą, że co do „sfery wpływu", przyznanej Włochom w 1925 r., były poczynione pewne zastrzeżenia, jakie jednak — pismo nie wymienia... Tak więc nie ulega kwestji, iż w polityce angielskiej względem Włoch nastąpiła radykalna zmiana.

Opowiadał nam jeden z polskich uczestników tegorocznego (koniec września) zebrania w Genewie przyjaciół Ligi Narodów, iż gdy delegat Włoch, senator Amadeo Gianini, przedstawił w gruntownym referacie istotę układów włosko-angielskich, dotyczących Abisynji, i wyraził zdziwienie, że obecnie Anglja nie chce ich uznać, to delegaci angielscy (Lord Cecil i t. p.) milczeli jak zaklęci, gdyż nie mieli argumentów na odparcie słusznych zarzutów włoskich.

Nie trudno zdać sobie sprawę z powodów zmiany frontu angielskiego. Rzecz nader prosto się przedstawia: to, co można było przyznać Włochom słabym i uległym, to samo należy dzisiaj odmówić Włochom, nie dającym już się prowadzić na pasku angielskim, przeciwnie — kroczącym śmiało własną drogą do celu zamierzonego, w poczuciu wzmożonej świadomości i siły narodowej.

Takim Włochom należy stanąć wpoprzek na drodze ich zamierzeń i wybić im z głowy ich ambicje rozrostu kolonjalnego.

Wybijanie innym z głowy zamiarów, niezgodnych z interesami swego imperjalizmu, robiła zwykle Anglja w sposób brutalny: tak było z Francją w czasach zatargu o Faszodę (tak nawet próbowano wybijać z głowy okupację Algieru w 1830 r., ale próba się nie udała), tak też się zachowuje dzisiaj wobec Włoch.

Nie dość było Anglji wszczęcia akcji przeciw Włochom na terenie Ligi Narodów i przekształcenia kwestji kolonjalnej w wielką kwestję europejską, ale trzeba było jej nadto pokazać światu własną pięść uzbrojoną i zagrozić nią współzawodnikowi na przestrzeniach Afryki.

O bezwzględnych metodach działania Anglji może świadczyć fakt rzucenia — bez oglądania się na kogokolwiekbądź — olbrzymiej floty wojennej na morze Śródziemne, jakby na jego wodach ona jedna była panią.

Przecież Liga Narodów nie uchwaliła jeszcze sankcyj przeciw Włochom, a tu Anglja reaguje tak, jakby już one istniały, jakby do tego prowokacyjnego skoncentrowania swojej floty na morzu Śródziemnem upoważniła ją Liga. Tu już wyraźnie wyłazi szydło z worka: Anglja działa na własną rękę, na rzecz swego wyłącznie interesu, ekscytując przytem świat cały obroną zagrożonego przez Włochy pokoju i czyniąc z Ligi Narodów posłuszne narzędzie własnych widoków.

W tem podniecaniu opinji świata grozą wojny, zawieszonej nad nim, łączy się Anglja z żywiołami wywrotu, z rozmaitemi międzynardówkami, które dyszą żądzą zemsty nad Włochami za klęskę zadaną im w ich kraju przez faszyzm.

Mówi się wiele w prasie naszej o błędach dyplomacji włoskiej w tym sporze o Abisynję; — jakże więc mamy nazwać postępowanie Anglji, która pierwsza schodzi z drogi bezpośrednich rokowań i zaognia stosunki, urządzając demonstracje floty na morzu Śródziemnem i fortyfikując pośpiesznie niektóre pozycje swoje na niem.

To już nietylko błąd, lecz nadużycie siły w celu zaspokojenia własnego egoizmu, gdyż tu nie było konieczności działania w ten sposób.

A jak nazwać to, że stwarzając na tle stosunków abisyńskich przez kilkadziesiąt lat szereg precedensów, sprzyjających Włochom, Anglja sama otwierała im drzwi do Abisynji, stwarzała pokusę dalszej akcji kolonizacyjnej i w ten sposób utrzymywała w przekonaniu, iż mogą swobodnie działać w tej mierze, — a gdy to pociągnęło za sobą poważne ofiary ze strony Włoch, wówczas zatrzaskuje gwałtownie te drzwi za nimi i poniekąd wpędza w matnię.

Nie wiadomo, jak się potoczą wypadki wojenne, to pewna jednak, że Anglja zrobi wszystko, by Włochy w tej matni abisyńskiej targały się długo i mocno nadwyrężyły swe siły.

Życzyć należy Włochom, żeby z tej imprezy abisyńskiej, w której mają do czynienia z potężniejszym wrogiem niż negus — wyszły bez szwanku dla swojej polityki i swego honoru.

Oby nie sprawdziło się na nich powiedzenie ich wielkiego męża stanu, Cavour'a mianowicie, że „Anglja zwykle przegrywa wszystkie bitwy, ale wygrywa — ostatnią!"

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

FASZYZM U KRESU ROKU XIII

RZYM i KARTAGINA

(KARTY Z NOTATNIKA)

„Co czynisz, nawo?...
Afryk maszt twój łamie".

(Horacy)

Rzym, we wrześniu

WCHODZĄC parę dni temu na Kapitol, ujrzałem wspartą o balaski *ara del Fascio*, na tle jedynego w swoim rodzaju krajobrazu, jaki się stamtąd roztacza na Rzym imperjalny i Kampanję rzymską, czarną piastunkę, pilnującą dzieci bawiących się w przyległym ogródku. Szczerząca białe zęby, kędzierzawa, kraciasto przybrana Afrykanka pochodziła może, jak inna czarna piastunka, którą widywałem swojego czasu w San Remo, z królewskiego rodu abisyńskiego. W takiem zaś przypuszczeniu widok jej na Kapitolu budził we mnie wspomnienie innego tu gościa z Afryki, Numidyjczyka Jugurty, co na stokach tej góry, w więzieniu mamertyńskiem, spędzał smutne lata niewoli.

W ostatnich czasach odległość pomiędzy czarnym lądem afrykańskim a metropolą rzymską zredukowała się wydatnie: czytaliśmy wszakżeż o locie szefa włoskiej armji powietrznej, generała Valle, który w tym samym dniu przebył przestrzeń dzielącą Romę i Massawę; dzięki takim eksperymentom powiedzieć mogą Włosi, jak niegdyś Ludwik XIV o Pirenejach: „Niemasz już Suezu".

I nie byłoby tych „Pirenej" suezkich, gdyby nad Suezem nie czuwał strażnik, czujny, skryty, wytrwały i bezwzględny, spadkobierca na wybrzeżach afrykańskich kupieckiej Kartaginy, „Albion", którego bankierzy czy pionierzy w niczem nie ustępują pod względem swej zabiegliwości przemyślnym zbieraczom złota, znanym nam choćby z „Salammbo".

Otóż „Albion" wzdraga się dopuścić do tego, żeby imperjum jego egipsko-sudańskie (włącznie ze źródłami Nilu) ujęte zostać miało niby w kleszcze pomiędzy podległy już Włochom *dominion* libijski, a nową, rozszerzoną ewentualnie na przestwory abisyńskie, Erytreję.

Jak niegdyś Horacy przestrzegał nawę państwową rzymską, by nie angażowała się w nowe wojny, tak obecnie jeden ze szczerych przyjaciół Włoch — Francuzów przypomniał Włochom los monarchji francuskiej, która, wdawszy się w nie będącą na rękę Anglji wyprawę algierską, straciła ponownie tron odzyskany, nie bez przyczynienia się rywalki z za „Kanału".

Włosi wszakże, z tym tradycyjnym politycznym realizmem, — który, jak skała Kapitolu, przykryty jest bujną wegetacją grzmiących a dźwięcznych haseł! — nie dają się zastraszyć ponurym horoskopom, ale ważą wszechstronnie szanse i trudności przedsięwzięcia. Świadomi są więc oni walorów swojej siły zbrojnej, stopnia jej technicznego wyposażenia i wyszkolenia, które na tym poziomie nie mogło być dotychczas wypróbowane przez żadną inną armję europejską; znają w szczególności wysoką wartość swojego lotnictwa, owej broni naprawdę kongenjalnej duchowi narodu włoskiego, bo przeczutej już intuicją wielkiego Leonarda, ujętej w systemat programowy pracą generała Douheta, a rozbudowanej na skrzydłach „Capronich" i w aerodromach „Littoria" i „Guidonii".

Świadomi są niemniej Włosi trudności klimatycznych oraz terenowych przedsięwzięcia abisyńskiego, gdzie broń ich naczelna nie może się zwrócić w sposób skuteczny przeciwko szczupłym tam i zakrytym skupieniom ludnościowym, a zagrażać co najwyżej chaotycznym i barbarzyńskim taborom wojskowym Negusa. Świadomi są dalej Włosi—olbrzymiego stosunkowo kosztu tak odległej ekspedycji, skomplikowanego w dodatku specyficznemi trudnościami budżetowemi i bilansowemi Włoch (gdzie wzgląd na turystykę nie dopuszcza np. obszerniejszych restrykcji importowych), trudności, które pokonywa w miarę możności rząd „totalitarny", ale które też usiłuje wyzyskać Anglja, skłonna, jak zawsze, do zużywania przeciwnika na długi dystans i „wykańczania" go dzięki wywołanej przez nią jego słabości. Wciągają wreszcie Włosi w rachubę swoich szans „anatomję" polityczną Abisynji, wykazującej wielką niespójność w poszczególnych członkach swego organizmu państwowego i przypominającej kłótniami swoich wielmożów znane u nas precedensy ery saskiej i stanisławowskiej.

Czują się Włosi w rozgrywce, jaka się przygotowuje, nietyle, jak my dawniej, „przedmurzem chrześcijaństwa", ale raczej „awangardą rasy białej"; czują się protagonistami cywilizacji europejskiej nietylko w stosunku do etjopskich spadkobierców Menelika, ale także do sprzyjających im Turków Kemala, jak i tych agentów *dumping*'u japońskiego, co przebiegają składy i targi abisyńskie, srogą robiąc konkurencję włoskiemu zwłaszcza przemysłowi włókienniczemu.

W tego rodzaju sytuacji — konkluduje „*Il regime fascista*", organ Roberta Farinacciego, który, mówiąc nawiasem, właśnie w tych dniach ostatnich uzyskał, jak donosiła prasa, dyplom lotniczy — uważać należy, że konflikt italo-etjopski cofnięty został na plan dalszy... Należy bowiem w samej rzeczy skonstatować, że „wspólny front" socjal-masoński oraz socjal-komunistyczny mniema, iż nasunęła mu się nareszcie dobra sposobność rozpętania ataku generalnego przeciwko faszyzmowi... Stara to gra: prowadziła ją już Anglja w boju dwudziestoletnim o zmniejszenie potęgi francuskiej, głosząc wszem wobec miłość swoją bezgraniczną względem narodu francuskiego, tej niewinnej ofiary... „uzurpatora" Napoleona, przeciwko któremu jedynie miały być rzekomo zwrócone oręże „skoalizowanej Europy"...

* * *

Wieczór na rynku małej a starożytnej mieściny Albano Laziale pod Rzymem. Zimny powiew idzie od Monte Cavo. Przed balustradą, na której długo czekam na tramwaj, z wzrokiem wpatrzonym w cudną aleję böcklinowską, stworzoną przez faszyzm — *the man in the street*, Włoch o gestach Talmy a wymowie Cycerona, tłumaczy drugiemu, sceptyczniejszemu, dlaczego *Duce* chce iść na tę daleką wyprawę. Tłumaczy mu, że Włochy żyją jak w klatce, że duszą się w pasywiźmie swoich obrotów, że na nic wysiłek narodu i wodza, gdyby cofnęli się przed perfidnym naciskiem wrogów.

— *Hai preso moglie quest'anno, amico mio* (Ożeniłeś się wszak tego roku, mój przyjacielu) — kończy improwizowany trybun z albańskiego forum.—*Se vuoi bene a lei e a te stesso, desidera l'Abissinia*! (Jeżeli jej i sobie dobrze życzysz, pragnij Abisynji!).

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

BANKRUCTWO USTROJU SZKOLNEGO W POLSCE

(Ciąg dalszy)

V

„MAŁY Rocznik Statystyczny” oblicza, iż w r. 1933/34 było w szkołach średnich, zawodowych i wyższych około 300.000 młodzieży. Pomijam w tem obliczeniu różne drobne szkoły i kursy dokształcające. Łatwo stwierdzić, porównując ilość dzieci w szkołach powszechnych z ilością w szkołach innych, iż około 94% dzieci kończy swoje studja na szkole powszechnej i to tylko w małym procencie na szkole powszechnej typu wyższego. Szkoła powszechna winna być tedy źrenicą w oku naszego narodu i państwa.

P. Kawałkowski przychodzi nam z pomocą w ocenie stanu tego szkolnictwa po kilku latach eksperymentów i podaje ostatnie dane. Do najniższych 4 oddziałów szkolnych uczęszcza przeciętnie po 900.000 dzieci, w oddziale V — jest 400.000, w VI — 300.000, w VII — tylko 100.000 dzieci. Biorąc osobno dzieci wiejskie i miejskie otrzymamy obraz inny: na wsi w czterech najniższych oddziałach jest przeciętnie po 730.000 dzieci, w oddziale VII — tylko 37.500 dzieci; w miastach w czterech najniższych oddziałach jest po 170.000 dzieci, a w oddziale VII — 79.000 dzieci.

Jeszcze kilka lat temu, tuż przed reformą braci Jędrzejewiczów, było nieco inaczej; było, zwłaszcza na wsi, lepiej. P. Machowski w pracy swojej p. t. „O jutro szkoły polskiej” podaje zestawienia za r. 1928/29, używa przytem innej metody. Uczęszczało w tym roku do szkół powszechnych na wsi 2.538.520 dzieci; do szkół siedmioklasowych uczęszczało 330.000, sześcioklasowych 85.000, pięcioklasowych 138.000, czteroklasowych 131.000 dzieci. Stanowiło to zatem niespełna 31% wszystkich dzieci. Reszta, więc 69% dzieci wiejskich, uczęszczała do szkół, które nie dawały prawa wstępu do gimnazjum. Dzieci z tych szkół, chcąc iść wyżej, przenosiły się do szkół wyżej zorganizowanych w najbliższych miastach. Obecnie dopiero ukończenie szkoły sześcioklasowej daje prawo wstępu do szkoły średniej. W szkołach tych było w r. 1928/9 — 16% dzieci wiejskich! Dziś jest ich jeszcze mniej!

To, co jest, nikogo nie zadowala. Mieszkańców wsi doprowadza do rozpaczy. We wszystkich budzi obawy o przyszłość.

A mimo to szkolnictwo nasze kosztuje dużo.

VI.

P. Kawałkowski pisze, iż w r. 1929/30 wydał rząd sam na całą oświatę 460 milj. zł. — w roku bieżącym spadły wydatki rządu do 311 milj. zł.

„M. Rocznik” podaje dużo materjału informacyjnego w tym kierunku. Według tego źródła (a za dawniejsze lata według wielkiego Rocznika) wydawały razem rząd i samorządy na całe, a nie tylko powszechne szkolnictwo: w r. 1927/28 — 456,8 milj. zł., w r. 1929/30 — 626,5 milj. zł. i preliminowały na r. 1934/35 — 411,2 milj. zł. Ile z tych sum pochłania szkolnictwo powszechne?

Wydatki państwa wyniosły: w r. 1926/27 — 168,5 milj. zł., w r. 1927/28 — 209,9 milj. zł., w r. 1928/29 — 249,8 milj. zł., w r. 1929/30 — 264,5 milj. zł., w r. 1930/31—263,8 milj. zł., w r. 1931/32—217 milj. zł., w r. 1932/33 — 195,8 milj. zł., w r. 1933/34 — 192,6 milj. zł., w r. 1934/35 preliminowano 187,9 milj. zł.

Wydatki samorządu (bez Śląska) wynosiły w tych samych latach: w r. 1927/28 — 70,3 milj. zł., w r. 1928/29 — 92 milj. zł., w r. 1929/30 — 76 milj. zł., w r. 1930/31 — 76 milj. zł., w r. 1931/32 — 71,6 milj. zł., w r. 1932/33 — 65,4 milj. zł., w r. 1933/34 — 60,3 milj. zł., na r. 1934/35 preliminowano 64,1 milj. zł.

Śląsk ma pełny samorząd szkolny i sam opłaca wszystkie wydatki szkolne. Ogółem wydatki Śląska na szkolnictwo wyniosły: w r. 1927/28 — 26,3 milj. zł., w r. 1928/29 — 38,1 milj. zł., w r. 1929/30 — 39,1 milj. zł., w r. 1930/31 — 40,1 milj. zł., w r. 1931/32 — 35,3 milj. zł., w r. 1932/33 — 26,7 milj. zł., w r. 1933/34 — 24,5 milj. zł., na lata 1934/35 i 1935/36 preliminowano około 23,1 milj. zł. Z sumy tej szło na szkolnictwo powszechne około dwu trzecich — resztę rozdzielano na szkoły średnie (4,5 milj. zł.), zawodowe (2 milj.) i seminarja nauczycielskie (1,5 milj. zł.).

Samorządy terytorjalne poza Śląskiem niewielkie tylko sumy wydawały na inne działy szkolnictwa poza szkolnictwem powszechnem.

Po zliczeniu wszystkich grup otrzymamy ostateczny koszt prowadzenia przez Polskę szkolnictwa powszechnego: w r. 1927/28—296 milj. zł., w r. 1928/29 — 367 milj. zł, w r. 1929/30 — 366 milj. zł., w r. 1930/31 — 366 milj. zł., w r. 1931/32 — 315 milj. zł., w r. 1932/33 — 279 milj. zł., w r. 1933/34 — 269 milj. zł., w r.

1934/35 — 267 milj. zł. Osobno Minister Skarbu płaci emerytury i koszty leczenia nauczycieli. Sięgają one napewno sumy 30 milj. zł. rocznie.

Są to wydatki niewątpliwie poważne. A jednak nie daje nam to szkolnictwo tego, czego wymagać mamy prawo, a co zapowiadali jego organizatorzy. Aby przy dzisiejszej organizacji szkolnictwo to spełniło swoje zadanie, należałoby dodać, skromnie licząc, 15 — 22000 nauczycieli (ok. 60 — 100 milj. zł.) i budować szybko sale szkolne (50—100 milj. zł. rocznie). Pozatem, aby wieś wyrwać z impasu, trzeba pomnożyć bardzo znacznie ilość szkół sześcio i siedmio-klasowych po wsiach. A ponadto — trzeba mocno zmienić plany szkolne.

Czy nas stać na ten wysiłek?

To, co jest dziś — bez wielkiego dodatkowego wkładu — dłużej utrzymać się nie da. Jest zbyt kompromitujące. A mały wkład dalszy, oczywiście możliwy, nie uratuje szkolnictwa powszechnego od załamania.

VII.

Każdy rok przynosi dalsze wykoszlawienia pierwotnego planu i dalsze pogorszenie dla dzieci wsi. Nowa reforma szkolna miała otworzyć drzwi wszystkich szkół naoścież dla całej młodzieży. Reforma była pod hasłem szkoły jednolitej. Tymczasem nowa reforma zamknęła drzwi dzieciom wsi do szkół średnich i zawodowych. P. Kawałkowski przyznaje, iż stan ten stwarza „na przyszłość groźne dla normalnego rozwoju kulturalnego narodu położenie młodzieży wiejskiej". Nowa konstytucja położenie to jeszcze pogorszyła. Miasta bronić się usiłują już teraz przed napływem dzieci ze wsi do swych szkół o wyższym typie organizacyjnym. Jasło, Rzeszów, Kraków wprowadziły już opłaty od dzieci z poza rogatek miejskich. Gmina Wiskitki pod Żyrardowem uchwaliła brać od dzieci z sąsiednich okręgów szkolnych po 15 zł. Są to pierwsze groźne jaskółki. Jeszcze rok, dwa, a zjawisko to stanie się powszechne. Płacić będą zrazu dzieci obce, potem i własne. Nowa Konstytucja na to pozwala.

Przez to sito selekcyjne nie przedostaliby się do szkoły wyższej, gdyby dziś żyli, nawet uczony Grzegorz z Sanoka ani Jan Kasprowicz.

(Dok. nast.) STANISŁAW RYMAR

O MALARZU SZLACHCICU

NIKT nie zaprzeczy, że Imci pan Juljusz Kossak jest typowym i rasowym szlachcicem. Począwszy od kształtu głowy, owalu twarzy i profilu, które z biegiem wieku nabrały hetmańskich zarysów, oraz orlego spojrzenia i zawiesistych wąsów aż do najważniejszej, bo duchowej sprawy jego bujnej, zamaszystej twórczości, szlachcic to w każdym calu. Z istoty swej bardziej on jest szlachecki, niż ulubiony jego Wincenty Pol, i wogóle bardziej, niż wielu innych szermierzy na niwie naszej twórczości.

A jeśli jest takim rasowym szlachcicem, to i rasowym jest Polakiem. Bo cokolwiekby ongi czy dziś mówiono o najazdach normandzkich czy obotryckich, cokolwiekby gadano o różnicy pomiędzy „lechitami" i „wenedami", — polski szlachcic i polski chłop to dwa bliźnięta, o jednakiej strukturze duchowej, krew z krwi i kość z kości jednego rodu. Wszelkie różnice urobione przez dzieje społecznego ustroju, są różnicami drugorzędnemi. Fundament i rdzeń duszy pozostały te same; i naród polski jest tu jeden i niepodzielny, — potężnie jednolity.

Ta jednolitość polskiej duszy narodowej w Juljuszu Kossaku występuje z wyrazistością uderzającą; — rys zaś, który w nim dominuje jako rys wybitnie polski o swoistem zacięciu, to jego słoneczny optymizm.

Optymizm ten, w przeszłości naszej dziejowej, a często gęsto i dziś, niestety, przeradzał się w beztroską lekkomyślność. I wtedy to w wynikach swoich kamieniem ciążył na losach narodu, smutne sprowadzając następstwa.

Nie zawsze jednak występował w tej roli. Przeciwnie nieraz, i to w najcięższych okresach, hartował on duszę narodu w stalowy, niezłomny brzeszczot, którego ani rdza, ani grad ciosów się nie imały.

Każdy naród musi posiadać pewną dozę optymizmu, no i humoru, które się z sobą wiążą, choć nie pokrywają. Musi mieć, — bo bez tego byłby skazany na zagładę. Jednak te cząstki optymizmu i humoru u każdego narodu są odmienne co do ilości i rodzaju swego.

Na lat kilka przed wojną i odzyskaniem niepodległości, w czasach dla Polski ciężkich, w pewnem angielskiem towarzystwie opowiadano sobie z zapałem, a nawet, rzec można, z entuzjazmem, jedną z dowcipnych, życiowych i politycznych anegdot warszawskich, ciętą andrusowską przygodę.

Wiadomo, że Anglicy mają dużo ekscentrycznego humoru, i to humoru niejednokrotnie pełnego finezji, — natomiast brak im lotnego dowcipu. Stąd czy to paryski *gavroche*, czy warszawski andrus, są dla nich zdumiewającem zjawiskiem.

A chodziło o rzecz bardzo prostą. Przez most Kierbedzia pędzono stado świń. Tramwaj najechał na jedną z nich, zmiażdżył ją i wykoleił się. Tłum gapiów wywołał zator, tak, iż rosyjska policja przy spisywaniu protokułu nie mogła sobie dać rady z tem zbiegowiskiem. Więc taki sobie wścibski andrus warszawski ofiarował się z pomocą. Wskoczył na wóz tamwajowy i gromko oznajmił: „Szanowna publiczności! Świnia nieboszczka umierając prosiła, ażeby na jej pogrzebie zostali tylko najbliżsi jej krewni!" Skutek był natychmiastowy. Publiczność ze śmiechem rozchodziła się, a pozostała policja rosyjska przystąpiła do wykonywania swych czynności.

Ta prosta i zwykła, jedna z tysiąca innych mniej lub więcej dowcipnych anegdot warszawskich, wywoływała entuzjazm w towarzyskich kołach Londynu. Opowiedziana przez polskiego studenta na północy w Hornsay wędrowała śmigłym

lotem na południe do Croydon, — a młodzieńca, gdziekolwiek się zjawił, spotykały zapytania: — „To pan był z tym, który tak dociął rosyjskiej policji z tramwaju na moście w Warszawie“... i t. p. I anegdota ta, obok kilku innych podobnych, dała sposobność do wypowiedzenia sądu głębszego i donioślejszego przez jednego z Anglików-literatów, choć w formie, jak często u nich, ekscentrycznej, prawie paradoksalnej.

— „Jesteście narodem nieśmiertelnym“ — mówił — „przed wami jest potężna i świetna przyszłość. Będziecie mieć niepodległość, własne państwo i własną wielkość, bo... — macie humor“.

Dla tego myślącego, wnikliwego Anglika, warszawski żartowniś stał się symbolem żywotnej siły narodu polskiego. Dla niego naród, posiadający niczem nie dający się złamać humor-optymizm, jest narodem nieśmiertelnym, — więcej, bo narodem przyszłości.

Zważywszy, że ta ocena wyszła z ust przedstawiciela wielkiego narodu, którego jedną z zasadniczych cech jest jędrny optymizm; — właśnie nie ślamazarny, lekkomyślny optymizm z pod frazesu „jakoś to będzie“, — ale jędrny, czynny optymizm zdobywców oceanów; — musimy stwierdzić wagę tej oceny, mimo jej ekscentryczności.

Tragiczny przebieg dziejów naszych poprzez „rzeź galicyjską“ i wstrząs powstania styczniowego, ze wszystkiemi następstwami tego fatalnego wybuchu, — odbiły się na duszy narodu i twórczych jego zastępów, głębokie ryjąc bruzdy. Dzieje te wykrzesały dramatyczno-tytaniczną twórczość Matejki i tragiczny monumentalizm Grottgera. Dzieje te działały dalej poprzez pokolenia, wywołując zresztą różnorodną reakcję. Jedyny z wybitnych twórców, i to twórców-patrjotów, o charakterze tak znamiennie narodowym — Juljusz Kossak (1824 — 1899) — zdawał się zupełnie nie reagować na przebieg tych wypadków.

Ktoby chciał odcyfrowywać duszę polską z dzieł Kossaka, duszę XIX wieku, mógłby sądzić, że żaden głos nie wzbijał się „z dymem pożarów i z kurzem krwi bratniej“ i żadna przemoc nie deptała po ziemi polskiej, nie gnała ofiarnych zastępów wgłąb Sybiru.

Ta bruzda pługu dziejowego nie przeszła przez duszę Kossaka.

A wszak jego brat rodzony, artysta-samouk, potomek rycerzy i kawalerzysta — po kampanji węgierskiej tułał się od Bałkanów aż po Australję, — ażeby potem, wezwany przez Ojczyznę, walczyć i być rannym pod Kobylanką i pójść wgłąb Sybiru.

W tym samym czasie słonecznie pogodna twórczość Juljusza była obrazem niezmąconego spokoju.

Gdyby Juljusz Kossak był twórcą-kosmopolitą, — artystą wynarodawiającym się, mogłoby to być proste i zrozumiałe. Ale nie, on był malarzem nawskroś narodowym, — krew z krwi i kość z kości polskim, zrosłym całem sercem i duszą z narodem, i piastującym w sobie zarówno jego przeszłość, jak i teraźniejszość, manifestującym swoją polskość w każdym obrazie, w każdej postaci, w każdem uderzeniu swego pędzla i sztychu swojej linji.

Zjawisko dziwne. Tak dziwne, że niektórzy stawali wobec niego, jak wobec zagadki nierozwiązalnej. Niektórzy się burzyli, — szczególniej ci z pośród cierpiętników pseudo-romantycznych.

Tymczasem nic to nie umniejszało popularności malarza życia polskiego, a zwolennikom teorji „sztuki dla sztuki“ dawało argument jej niezależności od wszelkiej „tendencyj“, ba nawet od wszelkiej idei.

Istotnie, czyżby dusza Kossaka-malarza nie była tknięta tym ogromem bólu i nieszczęść zmagającego się w śmiertelnej walce narodu?

Czyżby przeszła obojętnie przez burzę życia jakby za światem, jakby we wsi cichej i spokojnej, którą zresztą trudno było na ziemi polskiej znaleźć?

Nie, — postokroć nie! Dusza artysty Kossaka reagowała na wstrząsy życia narodu, na jego ból i zmaganie się. I cała twórczość jego właśnie była tą r e a k c j ą, — tą zdumiewającą, przedziwną reakcją.

W ulubionym przez Kossaka wieku XVII, w czasach „potopu“ szwedzkiego, Puffendorf opisał niezwykły wypadek żywotności rannego szlachcica, którego żadne usiłowania nie były w stanie dobić. To legendarne opowiadanie stało się symbolem i późniejszych dziejów narodu. Symbol ten charakterem swego optymizmu zilustrował Kossak.

W okresie rzezi Szeli Kossak był początkującym i mężniejącym artystą samorodnym, już w owym czasie ujawniającym zasadnicze rysy temperamentu narodowego, — w czasie zaś wybuchu powstania był już artystą doskonałym, wysokiej miary, mającym za sobą studja paryskie, a zarazem dochodzącym pełnego wyrazu swych narodowych cech. W latach od 1862 do 1868 przebywa w Warszawie, sercu ojczyzny i kierowniczem ognisku powstania, jest ilustratorem „Tygodnika Ilustrowanego“ i tworzy, tworzy coraz obficiej, coraz energiczniej, z jakąś pasją, która ma pokonać ciosy spadające na kraj, naród, — ma p r z e ł a m a ć d u c h a d e p r e s j i, — zgnębienia.

Ze zdumieniem należy stwierdzić, że im cięższe są lata, tem pogodniejszą, tembardziej męską, zamaszystą, a chwilami wprost triumfalną jest jego twórczość. Kiedy powstają groźne „Kazanie Skargi“, rozpacznie tragiczny „Rejtan“, monumentalnie tragiczne cykle grottgerowskie, a nawet, choć budzący już wiarę, ale jeszcze głębokim smutkiem owiany „Sejm Unji Lubelskiej“, — autor czuwającego „Mohorta“ i rycerskiej „Przeprawy przez Dniestr“ śpiewa pieśń chwały przyrody ojczystej i wartkiego, mieniącego się potoku głębin życia polskiego, ilustruje polowskie opisy granicznych Karpat i polskiego Bałtyku, — obiega szlakiem Chrobrego ziemię naszą, — daje rozchwytywany „Rok myśliwca polskiego“.

Wszystkie warstwy narodu naszego chwytają jego dzieła, biegną ku nim, jak do krynicy wody wiecznie żywej, krzepiącej w swej niespożytej świeżości rodzimego tętna.

Jeszcze na wiele lat przed Sienkiewiczem rozwinął Kossak swą twórczość „ku pokrzepieniu serc“, — tak jak na wiele lat przed nim odkrył bohaterską chwałę XVII stulecia i rozmiłował się w niej. Dla nich obydwu wiek nieszczęść: pożogi i potopu, był wiekiem niezmożonej siły narodu, był źródłem mocy na czasy bieżące.

Rzecz naturalna, że Kossak mógł dać tylko przygrywkę dla epicznej potęgi genjuszu Sienkiewiczowskiego, mógł być świetnym ilustratorem. Był też najlepszym ilustratorem „Trylogji“ młodszego twórcy, a zarazem najlepszym malarzem ry-

cerskiego toku XVII stulecia, obok zresztą nieodrodnego swego ucznia i przyjaciela, Józefa Brandta.

Miał Kossak jeszcze jedną pokrewną duszę— ze względu na rodzaj i skalę talentu, bliższą mu, niż zawrotne szczyty Sienkiewicza. Był nim rówieśnik jego, pułkownik Zygmunt Miłkowski (1824 — 1915). Jedną też z pierwszych jego powieści Kossak w dobie powstaniowej ilustrował. Tak samo jak nasz malarz zamaszyście i żywo, z tą samą pogodą szkicuje swoje powieści T. T. Jeż. Tą samą wykazuje żywotność optymistyczną swej pracy, żywotność, która stawia go na progu nowych czasów i nowego pokolenia jako autora „Obrony czynnej i skarbu narodowego“. Nawet faktura artystyczna, mieszcząca w sobie pierwiastki szkicowości i lekkości barw wodnych, zbliża ich ku sobie.

Choć mniejszą od Matejki, niemniej ogromną połać dziejów ojczystych przebiega Kossak, — bo od odrodzenia Polski za Władysła Łokietka do powstania listopadowego. Dwa jednak okresy szczególnie są przez niego ulubione, — a to wiek XVII i okres Legjonów do r. 1831. Zawsze momenty zwycieskie, — zawsze triumfalne.

Słusznie już J. hr. Mycielski zauważył, że czasy średniowiecza są dla niego czasami „wielkoludów”. Plemię takich „wielkoludów” występuje w ilustrowanych przez niego legendach rodowych, a nawet „mały” Władysław Łokietek na koniu w „Bitwie pod Płowcami” w całej swej postawie urasta do rozmiarów bohaterskiej wielkości.

Bohaterską wielkością oczarował go wiek skrzydlatej husarji z jej orlim poszumem, wichrowemi szarżami, z jej przeprawami przez rozlewne rzeki i morskie cieśniny. Natchnienie też tego wieku pozwoliło Kossakowi stworzyć dwa szczytowe dzieła w jego twórczości. Można i należy zgodzić się ze St. Witkiewiczem, że jednym z najwspanialszych obrazów Kossaka jest „Wjazd posła Fredry do Stambułu”, z jego triumfalną i pogodną dumą, a tak żywy i barwny. Charakterystyka tego obrazu, dana przez Witkiewicza, porusza i przekonywa. Musimy jednak stwierdzić, że przewyższa go jeszcze, zarówno siłą rysunku, plastyki, nasycenia jędrnego barwami, jak i przedewszystkiem duchową stroną, wznoszącą się na szczyty potęgi wyrazu, postać Czarnieckiego w przeprawie przez Bałtyk.

Zwykle w obrazach konwencjonalnych, lepszych czy gorszych, konie rzucają się śmiało w spienione fale, czasem czynią „sarni skok”, jak pod ks. Józefem Poniatowskim u J. Suchodolskiego. Juljusz Kossak chwycił się niezwykłego kontrastu. Tarant Czarnieckiego trwożnie zstępuje ku obmarzłym wybrzeżom morza, wyciąga swoją piękną szyję i głowę, wpatruje się badawczo swemi oczyma, — a na nim jeździec, — wódz zdecydowany, z orlem skrzydłem, wiewający burką, z gestem mocnym, o orlej głowie i orlem spojrzeniu. Te głęboko osadzone oczy, palące się ogniem nieustraszonego męstwa, to czoło sklepiste i wydatne łuki brwiowe, — ten nos i rozwiana broda hetmańska, — to skupienie bojowej potęgi narodu.

Czarniecki był ulubioną postacią Kossaka.

Nie bohaterska jednak podniosłość jest najwłaściwszą Kossakowi dziedziną, — częściej on oddaje się pogodnej, lekkiej, radosnej szermierce, co i nawet technice jego akwarelowej więcej odpowiada.

Choć linja kossakowska miewa czasem zbyt kaligraficzny charakter i w tym wypadku wpada w szablon tak znamienny u J. Vernet’a (którego wpływom ulegał), mimo to należy zaznaczyć, że wypadki to są rzadkie. Wielki nasz akwarelistyczny batalista, docierając chwilami do szblonu, utrzymuje się w istocie na jego pograniczu, popisując się tylko paradą ułańskiej elegancji. Ulubionym też po w. XVII-ym okresem jego jest okres ułański. Jeżeli zaś chodzi o manjerę, to raczej możnaby ją upatrywać w pewnych trójkątnych zacięciach uderzenia pędzla, tak znamiennych u naszego artysty, a pozwalających odrazu rozpoznać jego postacie ludzkie i końskie nawet we fragmentach. Zresztą, podobnie jak jego linja, tak i plama barwna, ma tę wspaniałą zamaszystość, połączoną z lekkością, tworzącą beztroską szermierkę niezrównanego gracza na szable. Jest to „mały rycerz“, — pan Wołodyjowski, szermierz nad szermierzami, a zarazem smukły ułan, w którego sprawnej ręce klinga błyska jak piorun.

Pogoda ducha, znamionując niemal wszystkie jego dzieła, w rzeczach życia codziennego przechodzi w jakiś przyśpiewek: „oj... da... da... dana”, w którym przebija się niezmącona, beztroska radość, szczęście z samego faktu istnienia.

Jego szarże ułanów lub Krakusów, jak np. „Dwernicki pod Stoczkiem”, tętnią już nutą „Mazurka Dąbrowskiego“. Wśród cyklów obrazowych, jak „Pieśń o ziemi naszej“ i „Rok myśliwca“, jest jeden, który w pełni wyraża jego reakcję psychiczną na ciosy i ból nieszczęść narodowych, — a to właśnie i mianowicie: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

On jeden zilustrował Pieśń Legjonów — i jak?!

Zaczynając od pierwszej karty tytułowej, gdzie w triumfalnym pochodzie zgromadzone są formacje wszystkich powstań narodowych, ogarnia nas tempo marsza tak dziarskiego i radosnego, że poprostu porywa za sobą. Czy to Dąbrowski ruszający „z ziemi włoskiej“, czy ów szereg doboszy bijących „w tarabany”, nad których wystrzela postać i czako księcia Józefa, wszyscy suną, — idą z dudnieniem mierzonych, zwycięskich kroków, z polatującą pieśnią na ustach. Wspaniała „Marsyljanka” Rude’a na łuku triumfalnym Paryża ma poryw podobny, może większy i potężniejszy, ale nie tak radosny i nie z tem odbijanem tempem marsza. Tu wszystko — kompozycja, układ i ruch mas, krok pojedyńczych żołnierzy, ruchy rąk i ramion, sama faktura, technika pędzla — nabrały tempa radosno-zwycięskiego pochodu.

Szlachecki, polski optymizm Kossaka triumfował, — górował ponad wszystkiemi właściwościami jego twórczości. I on to krzepił, radował, porywał.

Tą radosną nutą raz triumfalną lub skoczną, to znów rzewną i cichą, wiązał polskie serca z każdem dziełem swoim, orzeźwiał je, nietylko dziejowych chwil wspomnieniem, — ale i codziennem życiem wsi polskiej, od krakowskich banderyj i chłopskich furmanek do zbronowania ziemi rodzinnej, do przyrody ojczystej, a w tem przedewszystkiem i nadewszystko do umiłowanego konia polskiego, od szkapy aż do rumaka.

Że w „stadninach” wspaniałych, szarżach porywistych, koń wysuwa się obok człowieka, a czasem i na czoło, to wiemy i widzimy wszyscy, bo nietylko szlachcic polski, ale wogóle Polak jest szermierzem i jeźdźcem, — tem ujawnia się jego

żywotna siła, a siły tej wyrazem był Juljusz Kossak. Można powiedzieć, że nawet w sposobie potraktowania umiłowanego konia ukazuje się u naszego akwarelisty pogoda, równowaga... optymizm beztroski, dość pod tym względem zestawić jego konie z rozhukanemi, czasem wprost apokaliptycznemi rumakami Chełmońskiego.

Technika rysunkowa, malarska, kolorystyka i kompozycja ujęcia przyrody ojczystej, konia i człowieka, tematy, w których się rozmiłował, uczucia i ideje, które pochłaniały miłośnika życia polskiego, — wszystko to na sobie nosi znamiona łagodnie słonecznego optymizmu, — optymizmu, nie dającego się niczem skruszyć, ani nawet zachwiać.

Tym optymizmem, tem radosnem tętnem życia, pławiącego się w zalewie swojskości, tchnącego głębokim oddechem psychiki polskiej, Kossak odegrał wielką rolę w naszem życiu narodowem, w prężności żywotnej duszy naszej, w istotnem pokrzepieniu serc, krzesaniu wiary w przyszłość.

Krzepiące zaś oddziaływanie Juljusza Kossaka było tem wydatniejsze, że zasięg jego wpływów w społeczeństwie, w poszczególnych warstwach narodu, był większy, niż któregokolwiek z jego poprzedników, a mógł współzawodniczyć z zasięgiem Matejki, Grottgera i popularnego ilustratora Andriollego; reprodukcje jego dzieł, a częściowo i oryginały, ujrzały na ścianach swoich nietylko pałace, ale dwory i dworki, skromne mieszkania inteligencji zawodowej, a nawet czasem i chałupy.

Kiedy pogodny starzec w Krakowie u samego schyłku stulecia odchodził w inny, wyższy świat, w głębinach społeczeństwa już rósł potężny, odrodzeńczy prąd, nowy prąd nacjonalizmu polskiego, pełen młodzieńczej wiary we własne siły, prąd, który miał zdobyć niepodległość i nowe, własne państwo.

Duch optymizmu polskiego zwyciężył.

A. SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

NORWIDJANA III

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ DRUGA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

1. DO MARJI KALERGIS

Berlin, 14 marca 1846

Z niejakim wstrętem mi przychodzi dopełnić Pani polecenia, w kilku słowach donosząc o niepomyślnym stanie rzeczy, który bogdajby dotą nierozwikłaniem tylko swojem bolesne sprawiał mi wrażenie. Pani mi zechesz to darować, że pomijam wyznanie przyjemności, jakąby sprawić mi powinna możność listownej z Nią rozmowy. Bo niełatwo jest dzisiaj osobiste wrażenia od tego tłumu uczuć odjąć i wyróżnić z chaosu tylu tysięcy wyobrażeń nie rozdzielonych jeszcze w chóry ani krytyką historyczną, ani osobnem czasu piętnem.

Chciałbym sobie tłumaczyć, że oto stałem się ofiarą niewolniczego wychowania, a przeto niezbyt jasno widzę charakter całej obecności, że sposobem niemieckim na niepolskie wyszedłszy stanowisko (obojętności ich g r a b a r s k i e j), tylko fakta pomarłe policzyć umiem i odgadnąć — ha! Bogdajby tak było!... Wolałbym siebie widzieć martwym i wyrzutkiem narodu, niżeli czcze to widowisko za szczerą rzeczywistość i nieodzowną uznać prawdę.

Głuche wieści o Litwie nie ustają — żadnej wszakże pewności: coś jakoby w powietrzu — nic na ziemi, — Królestwo w takim samym stanie, w jakim je Pani opuściłaś — reszta (smutno powiedzieć) tracąc charakter polityczny w pojedyńczości się rozprysła, a że lud mało oświecony w każdej akcji socjalnej tylko wielkie wymiary przedsięwzięcia od niemoralności bronić mogą, — przeto jest podobieństwem, że reszta zgasłej partyzantki historycznej myśli nie zostawi, na niedobrym ołtarzu krew przelawszy i pogorszając stan więzionych, których i liczbę i charakter należałoby cenić! (Mówię tu tylko o Poznańskiem). Przyszłość wielka bo trudna, przeszłość oskarżająca, a obecność nieznośna.

Nie miałem sposobności z kurjerem Pani mówić o godzinie odjazdu i którędy jej droga do Paryża, — lubo śmiałem był sądzić, że to było dla Pani tajemnicą, nauczony przykładem Pani Marji, która zdania, że najlepiej nie mieć go wcale w rzeczach ziemskich, lub tyle tylko, ile trzeba do nazwania mię niepraktycznym!

Otóż przyszedłem był przed ósmą, jak to Pani raczyłaś mi pozwolić, i nie zastałem już niczego — niczego mówię, bo i listu, o którym była mowa. Proszę jednak napomknąć o pomyślnem odbyciu jej podróży, ażebym wiedział, czy życzenia, których nie mogłem był wyrazić, uwieńczone są skutkiem. Proszę przyjąć zarazem podziękowanie jeszcze jedno za kilka dobrych słów z Warszawy, których tak bardzo potrzebuję, uważając za słuszne korespondencję moją wstrzymać, która (w stronę Królestwa) ogólnego nie może nosić piętna, a szczególną być nie śmie przy tak ogólnym smutku! Może więc Pani sądzić, jak bardzo wdzięczny jestem za każde słowo Pani, jednem słowem za wszystko — aż do pokazania mi albomu (jest to uwaga artystyczna, która usprawiedliwia osobiste moje powołanie). Pani, o ile sądzę, nie będzie zbywać na potocznych z Warszawy wiadomościach, których ja teraz mieć nie mogę, jak to powyżej objaśniłem. Niechże więc Pani mi pozwoli, ażebym prosił o wymianę za smutne rzeczy, które piszę i za weselsze, których może Pan Bóg pozwoli mi udzielić. Więc w jakim Pani będzie sądzić za stosowne języku i w tak szczupłych wymiarach, na jakie drogi czas pozwoli i kiedy Pani się podoba, — o kika słówek proszę.

Niech mi Pani pozwoli się uważać za niedzisiejszą Jej znajomość, to mnie będzie pocieszać,

ilekroć przyjdzie na myśl, że zbyt szczerze i śmiało prośby moje zanoszę.

C. K. Norwid

Radzę praktyczność w pisaniu do Berlina.

Uwaga wydawcy: Autograf listu w bibjotece Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie, rkp. nr. nr. 2880, bez koperty i adresu. Adresatkę nietrudno ustalić z treści. Z Marją Kalergis był poeta w korespondencji w l. 1845 i n., pisał do niej (zob. *Chimera*, VIII, 332, 338 i odbierał od niej listy (ibd. 336). M. Kalergis z towarzyszką swą M. Trembicką bawiły w Berlinie pod koniec r. 1845, stąd wyjechały do Warszawy, zdaje się — w grudniu. Tam się rozdzieliły; p. Trembicka wybrała się do krewnych do Strykowa za Kobryniem (list Norwida z d. 11 kwietnia 1846 r. już tam przeadresowano; zob. tamże 340), a p. Kalergis przez Niemcy (i przez Paryż?) do Londynu (była tam u męża, separowanego, w czerwcu t. r., zob. Photiadès K.: *Marie Kalergis*, 1924, s. 48; *Chimera* VIII, 343). Z tekstu powyższego listu widać, że adresatka „opuściła Królestwo", właśnie przejechała przez Berlin, że jest w drodze do Paryża i że „nie będzie jej zbywać na potocznych z Warszawy wiadomościach". Może nią być zatem tylko Marja Kalergis.

2. DO JÓZEFA ZALESKIEGO

[Ok. 20 czerwca 1856]

...Przed kilku dniami miałem długi list od niego [C. Norwida] z prośbą, ażebym tobie ważniejsze z niego szczegóły komunikował, co też poniżej tu czynię:

...Poczciwy Teofil skarży mi się na kolegę naszego Karola Balińskiego, iż ten w poezji swojej pod nazwą *Słowo do braci* zdrapał go, i nas wszystkich, i mówi, że może ja tego nie wiem... Dopóki tu jestem, może być spokojny Teofil; — ja nie powiem Balińskiemu, co Teofil chce abym mu powiedział, bo nim książka jego dotknęła kraju, już tam w kraju zabity został przezemnie w miesięcznem piśmie Dodatku do *Czasu*, i nie jak on. (osoba), ale jako wszystka siła jego wzięta razem Bowiem ja nie dotykam, ale ostrzegam, a potem osobiście bywam i mówię, i tłomaczę, i wyjaśniam, i proszę, ale że jestem — chwała Bogu — spokojny, więc w pewnym już punkcie drogi nie swarzę się bynajmniej, tylko zabijam odrazu, i to na widoku najrozleglejszym i na słońcu. Tak się i z ikonklastyzmem towiańszczyków stało, że zabiłem go, od S. Łukasza począwszy, aż przez całą herezję bizancką przeprowadziwszy rzecz na faktach krwią i męczeństwem okupionych, prawomocności sztuki chrześcijańskiej dowodząc.

Jemu zaś na egzemplarzu, który w ręku miałem, napisałem:

I Mojżesz nawet (a taki wielmożny)
Nagiego *Fiat* wyrzec był ostrożny,
W zwierciadeł dziesięć złamawszy promienie,
By jako włócznie nie spadły Febowe...
Pomny, że lilja polna ma korzenie
I że nie przyszedł wyścigać Jehowe...

Otóż książka ta Balińskiego to jest tylko fiat i wiwat! jakby sfukał kogoś i nie powiedział mu nawet za co. Tak mniej więcej ze wszystkiem oni robią.

Z wieści od świata Świętych i ja wiem nieco, bo Pan na osoby względu nie ma... dlatego tylko i ja wiem — ale cóż? Kiedy niema: Nadziei — jako Cnoty, Wiary — jako siły, Miłości — jako prawdy, tylko jest spodziewanie się czyli fortuna, — wierzenie formalne i miłowanie jak się podoba. Przytem zatracone jest wszelkie szczere serjo, jakoby że Naczynie poważne zgubione, a bez tego żadna całość zbiorowa i pojedyńcza nie ostoi się. To, czego nam (Polakom) brak, to nie ziemi polskiej nawet, ale Naczynia Poważnego... Ja nie prorokuję żadnych fałszywych zmian, — wszystko będzie co jest, tylko wszystko z wyższego źródła, a co nie wytrzyma tej próby — to w proch pójdzie...

W tymże liście donosi mi Cyprjan, że miał jako rysownik odpłynąć z księciem Napoleonem do Szwecji, ale że mu tam ktoś buty uszył, a więc mu grzecznie odpisano, że szkoda iż się wcześniej nie podał, bo teraz już wszystkie miejsca scientyficzne zajęte i tak nieborak na koszu osiadł..

Uwaga wydawcy: Fragment listu Norwida zachował się w odpisie Józefa Zaleskiego, w tekście jego listu do T. Lenartowicza (Bibl. Krasińskich, rkp. nr. 5148). W urywku mowa jest na początku o wierszu K. Balińskiego, wydanym osobno w Londynie 1856 r. p. t. *Śpiewakowi Mohorta bratnie słowo* (Londyn, Drukarnia Powszechna). Jedna jego zwrotka zawiera rzeczywiście przytyk pod adresem Lenartowicza; autor mówi o bezdrożach, na jakie weszli poeci polscy:

„Inni, porwawszy prawdy wiekuiste,
Wznieśli się z niemi w sfery takie mgliste...
I utonęli gdzieś w Italskich chmurach.
Rycerze — ale tylko na lazurach;
Błyskają, — myślisz, że błyski mieczowe,
Że damasceńskie?... gdzie tam — księżycowe!
Niema w nich ciała, kości i krwi polskiej:
Polonez duchów przy lutni eolskiej;
Dotknij; a oni i złote ich struny
W deszczu z brylantów spadną na laguny".

W cyklu *Wita Stwosza pamięci — estetycznych zarysów siedm*, drukowanym w kwietniowym zeszycie Dodatku mies. do *Czasu* z r. 1856, głosił Norwid wysokie posłannictwo sztuki, która dusze przenika i ku Bogu przyprowadza i zwycięża prędzej niż miecz grubijanina-profana. Mógł zatem mniemać, że *anticipando* odpowiedział na powyższe wydziwiania Balińskiego na poezję i poetów za to, że walkę prowadzą tylko „na lazurach". — List wyjaśnia dalej, do kogo się odnosi wiersz *Fiat i wiwat*, ta „wspaniale wzgardliwa replika". Wiersz ten w całości (tutaj jest tylko pierwsza jego zwrotka) ogłoszono — z drobną odmianą w tekście — z odpisu przesłanego M. Pawlikowskiemu, datowanego (kwiecień 1856), ale bez wskazania adresata (zob. *Pisma zebrane* t. A, s. 963). Obecnie wyjaśniają się okoliczności jego powstania. Wspomniany w liście Zaleskiego nieżyczliwy Norwidowi intrygant — to E. Chojecki (zob. *Chimera*, VIII 392).

W tych dniach wyjdzie z pod prasy nowa książka

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

ASPAZJA i ALCYBJADES

Z dziejów powieści warszawskiej.

Cena **zł. 3** (z przesyłką).

Autor i nakładca uprasza o kierowanie zamówień na książkę powyższą do administracji „Myśli Narodowej" (Al. Jerozolimskie 17) lub do redakcji (Mokotowska 11). Konto w PKO: „Myśl Narodowa" nr. 3.105.

Tamże tegoż autora „Norwid". Cena zł. 5.

NA WIDOWNI

O tem, jak Chrystus objawił się chłopu.—Człowiek i żyjątko.—Polska musi powrócić żydów ludzkości.—Abramek wojownik abisyński.— Stroje regjonalne w Sejmie.

CZYTAŁEM teraz bardzo miłe, miejscami bardzo wesołe opowiadania Pawła Szumilasa p. t. „Hanusine serce". W pewnem miejscu stary chłop (z Proszowskiego), pamiętający powstanie 1863 r., opowiada w wieczór październikowy, jak to było...[1])

I on i sąsiedzi nieżyczliwi byli powstaniu, nie obchodziły ich sprawy narodu. Pewnej nocy zbudziło go stukanie do okna. Ujrzał rękę (jak w obrazku Grottgera): Młody powstaniec w krakusce, przy szabli, zbiedzony prosił o nocleg. Chłop mógł bezpiecznie go przygarnąć, ale nie chciał. Rano poznał go—prowadzili go drogą kozacy. Idąc na pewną śmierć, mówił pacierz. Chłopu ścisnęło się serce. Szedł za nimi zdaleka i za wsią podle drogi zobaczył chłopca powieszonego na drzewie.

Chłop pogrzebał zwłoki w polu, na mogiłce krzyżyk ustawił, nie znalazł jednak czapki, widocznie zginęła, gdy chłopca chwytano.

We wnętrzu chłopa odbyło się wielkie przeobrażenie. Nocami stawał w oknie, bo mu się zdawało, że cień powstańca musi mu się ukazać. Pragnął tego. Nie jego jednak zobaczył. Z mgły w świetle księżyca wyłoniła się postać Chrystusa w bieli. Serce miał przebite mieczem, a płynąc nad ziemią, w ręku trzymał czapkę powstańca.

Obiit Gustavus... Tego typu przewrót dokonał się w duszy chłopa. Opasał się mocno, wziął kęs chleba za pazuchę, kij w rękę i poszedł w świat. Poszedł szukać „oddziału". Zapóźno już było, daremnie się ofiarował. Gdzieś na granicy emigrujący uczestnicy Rządu zawierzyli mu kasę: aby przechował — i czekał.

Wszystko może się odmienić na wierzchu, ale lud zostanie, jako ostoja narodu.

— — — — — — — — — — — —

Niewątpliwie misterjum przemiany psychiki osobniczej na psychikę narodową jest momentem tak doniosłym w dziejach człowieka, iż nie dziw, że wypromienia się w poezji i w legendzie ludowej. Kryje bowiem w sobie coś więcej, niż to, co się da wyjaśnić biologicznie; potrzebny tu jest wstrząs metafizyczny za sprawą głębokiej wiary w życie większe, niż życie żyjątka.

Nie daje żyjątku mocy twórczej, dziejo-twórczej to, że się samo w potęgę materjalną uzbroi, ani to, że się zrzeszy klasowo, czy stanowo, że się, jak atom luźny, powoła na przynależność do „ludzkości", nie pomoże mu komplot, spisek, zawładnięcie siłami mechanicznemi,—musi odnaleźć w sobie człowieka wiecznego i na tym „kompleksie" religijnym życie budować — przez wcielanie swej wiary w życie organiczne narodu.

Ciężkiemi doświadczeniami prowadzą dzieje do tych przemian elementarnych w duszy społeczeństwa, aż się osobniczość przekrysztali na świadomość narodową. Słusznie wiara i poezja widzi w tem interwencję Chrystusa i aniołów. Nic też dziwnego, że naród ceni sobie zdobytą świadomość bytu, jako największą zdobycz dziejów i poczytuje za szkodnictwo i złowróżbny dopust złego, gdy ludzie, którzy tej ewolucji duchowej nie przebyli, usiłują dorobek dziejów zniweczyć, psychikę narodu zbałamucić.

Polacy niewtajemniczeni na tym punkcie w życie ducha, obcy się stają narodowi swoim sposobem myślenia, zachowują się wobec narodu swego jak obcy i daleko łatwiej porozumieć się im z żydami, niż z rodakami.

— — — — — — — — — — — —

Że ta obcość duchowa ludzi zaniedbanych w rozwoju przybrała w Polsce charakter wojowniczy, łatwo można sobie wytłumaczyć niezmiernem zażydzeniem polskiej inteligencji. Najboleśniejszym dla niej skutkiem patrjotyzmu jest przykrość towarzyska wyrządzana żydom, ci bowiem nie życzą sobie polskiej „megalomanji". Polak socjalistycznej albo masońskiej edukacji nie ma odwagi wdawać się w rozróżnianie interesów dziejowych narodu polskiego od interesów żydowskich; żydzi mu wmówili, że dobry chrześcijanin nie powinien rozróżniać. W tych warunkach za czyn doniosłości historycznej uznać trzeba wystąpienie publiczne ks. prałata Józefa Prądzyńskiego, jednego z najświatlejszych i najbardziej wpływowych księży na wyżynach hierarchji kościelnej, wystąpienie, zawierające jasną i kategoryczną deklarację w sprawie żydowskiej. W artykule „Twarda konieczność" w nr. 449 „Kurjera Poznańskiego" ks. Prądzyński tak rzecz stawia:

> „Polska jest niewątpliwie narodem i państwem najsrożej cierpiącym na przyrost żydostwa i najwięcej hamowanym przez nie w zdrowym rozwoju. Niby olbrzymi, nienasycony tasiemiec, rozsiadł się we wnętrzu Polski naród żydowski, wchłaniając w siebie wszystkie soki żywotne, dając wzamian zaburzenia, anemję i brak równowagi. Klinem wbija się w naród polski, nie dopuszczając do zgody wewnętrznej, aby nad skłóconą całością panować i pasorzytować na niej bezkarnie".

A potem:

> „Metoda jednak niemiecka w załatwianiu się z żydami nie wystarcza dla Polski, cierpiącej na 10 proc. żydostwa, nie licząc żydów półkrwi i żydofilów, gdy szczęśliwsze Niemcy mają ich zaledwie 1 odsetek. W Polsce może zagadnienie to być rozwiązane ze skutkiem wyłącznie przez wysiedlenie szczepu obcej rasy, i to w przyśpieszonem tempie, zanim się nie zamknie w mieście i na wsi koło żydowskiej samostarczalności gospodarczej i politycznej.
>
> Zarządzenia w rodzaju niemieckich starczą na okres przygotowawczy tego, co jest i pozostanie w Polsce t w a r d ą k o n i e c z n o ś c i ą, rozłożoną na pewien okres lat: w y s i e d l e n i a ż y d ó w z P o l s k i".

Ks. Prądzyński słusznie utrzymuje, że żydzi, gdyby chcieli stworzyć sobie własną ojczyznę, znaleźliby dla siebie miejsce. Wpływy ich na terenie międzynarodowym są dostatecznie wielkie, aby spowodować skuteczną akcję wysiedleńczą bez przymusu. Myśl wysiedlenia żydów narzuca się narodowi z nieodpartą siłą, jako konieczność życiowa. Nie zagłuszą jej „pokątne machinacje żydowsko-masońskie, utrzymujące i podżegające celowo zarzewie wewnętrznych niechęci" przeciwko obozowi narodowemu i katolickiemu.

Oczywiście w sercach obłudnych głos ten, płynący z wielkiego ukochania ojczyzny, wywoła

---

[1]) Powiem tutaj na ucho autorowi, który to opowiadanie podaje w gwarze ludowej, że niedokładnie chwyta uchem jej dźwięki. Krakowiacy nie mazurzą tam, gdzie przypada „rz", wadliwie więc pisze: psy (przy), psysed (przysed = przyszedł) i t. d. W tem rozróżnieniu rz od sz tkwi ważna wskazówka dla reformatorów ortografji.

fałszywe echo, tłumaczące tę przestrogę jako wyraz nienawiści. Żydzi i masoni stawiają żydów na ołtarzu „ludzkości" i przez miłość dla niej każą składać narodom z siebie ofiarę. A w wykonaniu zamienia się ta miłość dla obcych w nienawiść względem rodaków. Miłość ludzkości—obłuda zamienia w kłamstwo, a kłamstwo — ani się spostrzeżono—zamieniło patrotyzm w nienawiść tego wszystkiego, co jest narodu świadomością i wolą. Czy słyszycie rozlegające się w ścianach Rzpltej pokrzyki: — Musimy ich wygłodzić! Kogo? Obóz narodowy. Zdziczenie, a miała być kultura.

— — — — — — — — — — — —

Prasa żydowska rozbrzmiewa surmą chwały na rzecz żydków, którzy — powodowani miłością ludzkości — poszli z pomocą negusowi abisyńskiemu. Mianowicie niejaki Czertok, biedny żydek z Łodzi, obecnie potężny finansista amerykański, uzyskał w Abisynji koncesję z ramienia City londyńskiej. Inny zaś żydek, Abram Zagrowski, rodem z Wilna, biedny krawczyk, zaciągnął się był do Legji Cudzoziemskiej w Marsylji, w Afryce po krwawej bitwie z Beduinami marokańskimi dostał się do niewoli, ale uciekł od Beduinów do Abisynji (piechotą!), a tam dostał odrazu dowództwo pułku. Obecnie — jak pisze „Nowy Dziennik" — sławny ten wojownik „pierwszy zetknie się z oddziałami włoskiemi w walce o niepodległość Abisynji"... Adui jednak nie obronił.

Przypomina się wesoła powieść Makuszyńskiego o Tulipanie księgarzu, który u Indjan wpadł w ręce srogiego wodza, obwieszonego skalpami. W poufnej rozmowie, po żydowsku prowadzonej, dowiedział się, że wódz nazywa się też Tulipan, a na skalpy nabrał Indjan. Sam je — będąc z fachu fryzjerem—sobie porobił.

Żydzi z Polski stawiają na Anglję, bo właściwie, czy mogą stawiać z „sanacją" na przyjaźń niemiecką? W Polsce mogą służyć pomocą wyłącznie na froncie walki z obozem narodowym. To także obóz faszystowski...

— — — — — — — — — — — —

Tak już los zrządził, że żydzi wszędzie są wysuwani na front walk najostrzejszych, jak ów krawczyk Abram, abisyński Berek Josielewicz. Więc i w Polsce. Do Sejmu wzięto ich kilku zaledwie — dla okrasy, bo w Sejmie nie będzie posłów narodowych i wogóle niema z kim walczyć. Kto wie, czy się w Sejmie nie zaniesie na coś niemiłego. Mianowicie zdaje się p. Sławek podsunął myśl, aby posłowie grupowali się (klubów przecież nie będzie) według podziału terytorjalnego, żydzi zaś terytorjum nie znają. Cóż poczną?

Zasada regjonalna w Sejmie mogłaby mieć swoją wagę pedagogiczną dla całego kraju. Będzie to znakomite odciążenie dawnej idei narodowej, według której każdy poseł reprezentował cały kraj. Teraz każdy jest wyrazem tylko samego siebie, a rozglądać się może conajwyżej w interesach swego województwa. Wymaga tego zasada atomizacji. Cóż świat bez atomu!

Odciążenie idei narodowej stało się koniecznością, oczywiście idei polskiej. Żydzi, rusini mają swoje grupy, ale do jakiejże megalomanji doprowadziłoby posła, gdyby miał reprezentować naród polski!

Powstał podobno projekt, aby do regulaminu sejmowego wprowadzić obyczaj ubierania się posłów w stroje ludu miejscowego. Byłaby w tem sympatyczna manifestacja na rzecz ludu i niejako rekompensata za uszczuplenie udziału w reprezentacji parlamentarnej.

Pokazałoby się wtedy, jak bardzo Polska jest barwna. Rzekłbyś, że to nie Sejm, lecz dożynki. Pan Car, wybrany w Kielcach, mógłby się ubrać po krakowsku. Gorzej może wyszliby pp. Hołyński i Podoski, wybrani w Kobryniu, bo musieliby obuć łapcie.

Jakaż to dogodność byłamy dla marszałka: na rzut oka orjentowałby się w usposobieniu ludności sanacyjnej i dostrzegałby, czy czasem poseł z Pomorza nie porozumiewa się z posłem nowogródzkim, lub lwowskim. Oczywiście w przemówieniach możnaby i gwarą miejscową zatrącać...

To dziwne: niby lud, niby radzi o dobru narodowem, a daremnie szukałbyś człowieka, któremu się Chrystus objawił.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

SŁOWNICTWO POLITYCZNE operuje często takiemi zwrotami jak: „widownia polityczna", „na scenie dziejów", „teatr wojny" itp., co dowodzi, iż czasami patrzymy na życie jak na sztukę, stajemy się obserwatorami, bawimy się lub—i to najczęściej—przejmujemy głęboko dokonywającemi się faktami.

Obecnie polityka polska rozpoczęła grę, której rodzaj z punktu widzenia dramatycznego trudno jest nam jeszcze określić. W języku potocznym i urzędowym zwie się to „przyjaźną polsko-niemiecką". Na pociechę zacytujemy w tem miejscu słowa Chestertona, który powiedział, iż „podstawą sztuki jest przesada"...

Oto kilka scen tego widowiska: W Warszawie otwarto wystawę drogową. Techniczny perjodyk niemiecki „*Asphalt und Teer Strassenbautechnik*", w numerze specjalnie tej wystawie poświęconym, na okładce umieścił mapę Niemiec z bezceremonjalnie zaanektowanemi ziemiami polskiemi. Pytamy—co na to Liga Drogowa?

W Poznaniu usiłowano wmurować w ścianę domu, w którym urodził się Hindenburg, tablicę ku czci tego projektodawcy wysiedlenia Polaków z części ziem rdzennie polskich aż na Syberję. Zdecydowana postawa mieszkańców miasta uniemożliwiła, na szczęście, ten krok.

Pod Grudziądzem wreszcie, w Dragaczu urządzono dnia 29 września święto młodzieży zgrupowanej w „*Jungedeutsche Partei*". Zjechało się tam około 10,000 (wyraźnie: dziesięć tysięcy) młodych, umundurowanych (a jakże!) z proporcami, sztandarami i pokrzykiwaniem „*Heil!*" na każdym kroku. Przewodniczył nowomianowany senator, p. Wiesner z Bielska.

Widowisko miało zupełnie niezłe akcesorja, efekty świetlne oraz podkład muzyczny: przy rozpalonych ogniskach, śpiewano głośno i pewnie „Nadejdzie dzień..."

Cóż — na współczesnej widowni dziejowej przedstawicielom opinji narodowej przypada dotychczas rola jedynie widzów, i to nie z pierw-

szych krzeseł (mimo to widzimy dobrze), oraz, i na szczęście nie... z loży.

Nieznane nam są kulisy, ale bo to przecież i nie dla ogółu...

Patrzcie — jakie zachcianki!

„POLSKA ZBROJNA" PORUSZYŁA SPRAWĘ WAŻNĄ, jedną z najważniejszych. Oto czytaliśmy tam niedawno ciężki zarzut, że współczesna polska „...szkoła jest w wychowaniu swojem przepojona ideałami antymilitarnemi i pacyfistycznemi, mieszaniną pojęć wychowawczych przedwojennych z dodatkami nowoczesnemi, przyniesionemi z dalekiego Zachodu". Prawda—niestety — prawda. System wychowania wojskowego jest taki, system szkolnictwa inny. Zupełnie, jak np. z polityką na kresach: w województwie poleskiem kurs polonizacyjny, w sąsiedniem wołyńskiem wdzięczący się do „Ukraińców". A razem zwie się to wszystko „jednolitą postawą".

Zapytujemy — czy „Polska Zbrojna" widziała wymowny transparent, niesiony w ubiegłą niedzielę, przez młodzież podczas „dnia szkoły powszechnej"? Wyraźnie dźwięczała w nim propaganda pacyfistyczna: „Oświata to oręż pokoju".

„Dzień szkoły powszechnej" jeszcze inne nasuwał refleksje. Zestawmy tylko wymowę transparentów w rodzaju: „My chcemy się uczyć" ze stanem szkół w Polsce, gdzie bez nauki pozostaje przeszło miljon dzieci.

I jeszcze jedna refleksja. Tyle się u nas obecnie „świąt" namnożyło, że dni już poprostu na nie poczyna brakować. Tejże niedzieli był w Warszawie i „Dzień zwierząt". Podczas obrad dopominano się o lepsze i bardziej humanitarne ich traktowanie.

O humanitaryzm w stosunku do więźniów kryminalnych dopraszał się i akademik Rzymowski.

Dopominanie się o humanitaryzm w stosunku do uwięzionych czy izolowanych narodowców... nie wydaje się naszym „humanitarystom" rzeczą właściwą.

NAUKA i LITERATURA

SYN i WNUK

CYKLE POWIEŚCIOWE stają się w wielu razach plagą beletrystyki. Nietylko kończą zaczęty wątek treści, ale i „wykańczają" do szczętu bohaterów. Z drugiej strony, we wszelakich „historjach rodów" niepodobna uniknąć zasady trylogicznej: wypływa ona z samej natury rzeczy, a daje jednocześnie pisarzowi sposobność do przeprowadzenia tezy, na przykładzie licznej kolekcji, po kronikarsku zestawionych, faktów.

Otóż to, a więc jeszcze jedna kronika rodzinna. I tak, i nie...

W powieści Hildura Dixeliusa „Syn i wnuk" (autoryzowany przekład Marcelego Tarnowskiego. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa, 1935, str. 323), będącej dalszym ciągiem „Sary Alelji", mamy do czynienia z dziejami klątwy, ciążącej na wnuku za grzech babki. Stara, pogańska podstawa porządku moralnego, z fatalną siłą powstrzymująca swobodny wzrost, prostującej się ku światłu, duszy zbiorowej, nie szczędząca najświetniejszych królewskich domów, dochowała się w mrocznej, lesistej krainie w późne wieki.

Wskazany rys może najbardziej zastanawia w tych i poprzednich obrazach dziwnych, niecodziennych wydarzeń. Młody, wykształcony pastor, Per Olof Unacus, wstępuje w związki małżeńskie z własną pasierbicą, młodszą o lat kilkanaście, Majken.

Podobny postępek nie jest sprzeczny nawet z surowym kodeksem szwedzkim, cóż, kiedy lud — głos ludu ma być podobno głosem samego Boga — w zawarciu tego małżeństwa dopatruje się grzesznego kazirodztwa i prześladuje niebaczną parę kochanków. Jakby na dobitek, piorun zabija dziecko Majken, owoc ich pożycia. Nieszczęśliwa matka dostaje niebawem obłędu, trwającego już odtąd z przerwami lat kilka.

W ten sposób Majken pada ofiarą chorobliwego dziedzictwa wrażliwości nerwowej, przekazanego przez matkę, żyjącą w zamkniętym kręgu dręczących urojeń, panią Britę Katrinę Linnerus, wdowę po zmarłym w tajemniczych okolicznościach pastorze.

Pytanie — kto zabił?! — znaczy się w tekście krwawą czerwienią sensacyjnego podtytułu. I, ostatecznie, pozostaje bez odpowiedzi.

Freudowska psychoanaliza, przybrana w magiczną szatę owczarskiej wiedzy — obydwie w równej mierze służą talentowi opowiadacza, bającego z całem sakralnem namaszczeniem o tych, niezbyt zamierzchłych czasach.

W tłumie różnego kalibru wiejskich pastorów, przewijających się przed naszemi oczyma w *sui generis* jakimś *familienbuch*'u, napotykamy takiego Brennmana, doznającego swoistych obsesyj w chwili oryginalnego *auto da fé*, dokonywanego na specjalnie w tym celu sporządzanych figurkach, imitujących znienawidzony rodzaj żeński.

Jest i drugi okaz z ludzkiej menażerji, okrutny pastor Hellerstedt z sadystyczną satysfakcją znęcający się nad swym starym zwierzchnikiem, powodujący żałosny koniec tegoż.

O wszystkich wspomnianych wypaczeniach normalnych reakcyj psychicznych szepcze ze zgrozą i politowaniem... lud, ubronzowiając dla późniejszych szperaczy trywialną niekiedy codzienność.

Wbrew przyjętej opinji o zdrowiu duchowem plemion Północy, ołówek reportera zanotowałby w krótkim stosunkowo przeciągu czasu i na niezbyt dużym terenie, prócz wyżej wspomnianych, jeszcze parę obłąkań, samobójstw i morderstw — wszystko na tle erotycznem.

Pokłosie wypadków w nastrojonym na nutę bojaźni Bożej raptularzu rodzinnym conajmniej tak obfite, jak w rasowej powieści kryminalnej. To też opowiadanie o najbardziej cichym zakątku nabrzmiewa pełnią temperamentu, zadającą kłam powiastkom o nudzie życia prowincjonalnego.

Długotrwałe i srogie mrozy, nędza, niedostatek zboża i paszy dla bydła, a na dodatek różne, wymyślne choroby — oto obraz zimy, którą za wszelką cenę trzeba przetrzymać. Przytem brak większych osiedli, bytowanie mniej lub więcej zbliżone do samotności, to znów czynniki, hartujące twarde, niezdolne do zrzeczenia się uroszczeń bujnego indywidualizmu, natury ludzi, żyjących w blaskach zorzy polarnej.

Wymienione właściwości sprzyjają wyrafinowaniu, niezwykłemu naogół u prostaków. Bo prości są synowie i córki pastorów, prości i zdecydowani w dążeniu do osiągnięcia wyższego szczebla społecznego.

Prostocie niezawsze jednak towarzyszy mała ekspansja duchowa, niezdolność do nieoczekiwanego wytyczania coraz nowych celów własnej egzystencji. W wygarbieniach prawidłowej linji wahań temperamentu i uczucia kryje się niejeden frapujący akcent, wprost czekający na kamerę.

Zmienna równowaga sprzecznych motywów wewnętrznych, nieustanna walka między pragnieniem bogactwa barw i melodyj nie-narzuconej wizji świata, a surowym ładem,

ujarzmiającym jaskrawe zdrożności wybujałych egoizmów — bodaj, czy ta właśnie cecha nie nadaje opowieści pełnego waloru estetycznego?

Rzadko który z naszych stałych tłumaczów bieżącej beletrystyki miałby rzeczywisty tytuł, uprawniający do tego trudnego rzemiosła. Zazwyczaj napotykamy typowe wypadki nieprecyzyjnej, „kowalskiej" roboty... Chciałoby się coś milszego na deser powiedzieć. ES.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W ostatnim zeszycie bardzo starannie redagowanej „Tęczy" (miesięcznik ilustrowany, wydawany u św. Wojciecha) Stanisław Wasylewski ogłosił szkic literacki o polowaniu Mickiewicza. Jest tam mowa o bracie Adama, Franciszku, który mieszkał w Łakowie w Poznańskiem. W wigilję B. N. r. 1840 pod jego kierownictwem urządzono tam tradycyjne polowanie, w którem wziął udział młodociany uczniak, słynny potem filolog i historyk, Antoni Małecki. Otóż ten młodzieniec, któremu udało się zabić wtedy sarnę, opisał wierszem to polowanie i przechowany rękopis w późnej starości ofiarował na pamiątkę prof. Ludwikowi Ćwiklińskiemu. Wasylewski streszcza ten utwór, pisany na modłę „Pana Tadeusza". Arcydzieło to było już wtedy, jak widać, popularne.

*

Max Pulver, „Ucieczka do życia", powieść, przełożył z niemieckiego Marceli Tarnowski. Wydawn. Nowoczesne, Warszawa, 1935, str. 272.

Stylistycznie powieść ta ma charakter wizji. Autor z dużym talentem maluje półdziki w dołach, a zwyrodniały u góry współczasny świat niemiecki, ściśle biorąc — austrjacki. Powieść niema zakroju epicznego, więc oczywiście opis społeczeństwa nie jest kompletny. Ale już to, co jest, robi doprawdy niesamowite wrażenie. Ta forma, będąca niejako transkrypcją literacką ekspresjonizmu z malarstwa, wypowiada treść niezwykłą, która upiornością swoją przypomina chwilami „Pożegnanie jesieni" naszego Witkiewicza.

I tu i tam rzecz dzieje się współcześnie, a towarzystwo, grające rolę w powieści należy do panującego, choć zarazem ginącego już pokolenia burżuazji, a właściwie obieżyświatów i straceńców burżuazyjnych. Ten typ człowieka zarobkuje i żyje dla kokainy, lupanaru i wódki. Nie ma żadnych innych ideałów, ani dążeń społecznych.

Taki jest Moenboom, główna postać utworu, kokainista i erotoman, taki jest Kola, błędny agent bolszewicki, kokainista, erotoman i alkoholik, niewiele różni się od nich Cyryl, artysta-malarz i uwodziciel nieletnich. Nieinaczej też wyglądają kobiety. Pasują do tego towarzystwa. Autor pokazuje je właściwie w niewielkiej skali: od rozwydrzonych kokot, ciągnących znaczne zyski z procederu nierządu w „lepszem towarzystwie", aż do demonicznych kochanek, bezwolnych narzędzi piekieł, przechodzących z objęć w objęcia. To wszystko wyrasta, porusza się, uprawia swoją „ruję i porubstwo" na tle, widmowo rzuconem — szeregiem artystycznych napomknięć—nizin społecznych krwawych i złodziejskich, pokazanych gdzieś na przedmieściach Wiednia czy nad Dunajem, w niedzielę.

Oazą staroświecczyzny i reakcji jest rodzina Mariquity, primadonny powieści. Tu trzeba oddać autorowi to, co mu się należy. Trójkąt małżeński, akcja na dwóch torach: żona i kochanka i korelacyjna gra tych napięć — to nie są rzeczy ani oczywiście nowe ani oryginalnie wykorzystane. Ale rywalizacja między mężczyzną, a środowiskiem rodzinnem kobiety, walka, gdzie po jednej stronie stoi człowiek obcy, awanturnik, uwikłany we własną namiętność, a po drugiej zespół przeróżnych nikczemnostek burżuazji, zasiedziałej w terenie, jak grzybnia, ta walka, odbita tragicznie w duszy Mariquity, o którą właśnie spór się toczy—jest wspaniałym kawałkiem powieści. (T. D.)

TEATR

„KRÓL LIR" W TEATRZE POLSKIM

Z niecierpliwie wyczekiwanym przez publiczność oraz przez krytyków (śmiertelnie znudzonych wyjątkowo długo w tym roku trwającemi teatralnemi ogórkami) „Królem Lirem" Szekspira, wystawionym nareszcie w ubiegły poniedziałek w Teatrze Polskim — stało się to, czego się można było po Towarzystwie Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce spodziewać: obiecano nam poezję, a pokazano maszynerję. Żeby przynajmniej jakąś nową, jeszcze nie oglądaną zbliska, interesującą, zaciekawiającą maszynerję, jakieś, dajmy na to, *aero-giro*, albo rakietę międzyplanetarną, albo przynajmniej najnowszy system tanku, czy łodzi podwodnej. Kto wie? Wszystko jest możliwe. Może wówczas nie uznalibyśmy wieczoru zeszłoponiedziałkowego za zmarnowany. Ale, niestety, nie zobaczyliśmy ani nic nowego, ani nic ciekawego. Zademonstrowano nam poprostu w mniej lub więcej jaskrawem oświetleniu banalnych reflektorów stary, zdezolowany, przeraźliwie nudny mechanizm sceny obrotowej, którą wszyscy znamy na pamięć w najdrobniejszych i najintymniejszych szczegółach, która zdążyła nam opatrzeć się i doszczętnie obrzydnąć już przed piętnastu conajmniej laty, pomimo że Teatr Polski w początkach swojego istnienia popisywał się nią bez porównania bardziej dyskretnie, bez porównania mniej ostentacyjnie i bez porównania mniej cynicznie, niż to czyni obecnie, przystrajał bowiem zwykle jej nieciekawą nagość dziełami dekoracyjnemi Frycza i Drabika. Ową wysłużoną, skrzypiącą przykro z przepracowania karuzelę, która — gdy nie stało w Teatrze Polskim wymienionych wyżej Drabika i Frycza — tak bardzo psuje nastrój poetyckich widowisk, która przytem — naprzekór intencjom swego konstruktora — tak bardzo utrudnia szybką zmianę dekoracyj i przyczynia się — jakeśmy to stwierdzili naocznie w zeszły poniedziałek — do niepotrzebnego wydłużania antraktów, — należałoby, na dobrą sprawę, czemprędzej zdemontować i sprzedać na szmelc żydom z Kercelaka, albo też wywieźć gdzieś na odległą, zabitą deskami na głucho od świata prowincję, do jakiegoś naprzykład Kowla, do jakichś Stołpców, lub do jakichś Baranowicz, gdzieby jeszcze potrafiła może kogoś zadziwić, komuś zaimponować, obudzić w kimś leciusieńkie bodaj zainteresowanie. W Warszawie gruchot ten nie zaciekawia już nikogo. Nikomu nie imponuje. Nikogo nie dziwi. Dla „każdego jednego" przeciętnego warszawianina daleko ciekawszą maszynką od sceny obrotowej jest byle nowy typ automobilu, lada łódka motorowa, lada szmuglowana zapalniczka benzynowa do papierosów, byle superheterodyna. Tak. Scena obrotowa to sprzęt stanowczo przestarzały, stanowczo już niegodny reputacji Teatru Polskiego, który przy każdej przecież zdarzającej się okazji i okoliczności zwykł był chełpić się swoją nowoczesnością i swoją postępowością. Postępowość i nowoczesność była kardynalną racją jego założenia. Powstał przecież po to głównie, żeby przeciwstawić metody nowe starej, zatęchłej rutynie dekoracyjnej oraz inscenizacyjnej dawnych Rozmaitości. A dzisiaj cóż widzimy? Oto skończyło się na tem, że ów rewolucyjny niegdyś, awangardowy, panie dobrodzieju, teatr sam ugrzązł w metodach arcystaroświeckich, kiśnie w nich i pleśnieje. Spętał się konserwatywnemi szablonami reflektorów i sceny obrotowej i ani rusz, nie jest w stanie wyrzec się tych, zamierzchłe, przedwojenne czasy pamiętających rekwizytów, których modele od dawien dawna powinny zostać złożone na wieczny odpoczynek w retrospektywnym dziale muzeum teatrologicznego.

W krótszych i dłuższych przerwach pomiędzy produkcjami sceny obrotowej, kręcącej się w gruncie rzeczy mniej szybko, mniej zabawnie i mniej efektownie, niż potrafi się kręcić pierwszy lepszy blaszany bąk dziecinny, kupiony w halach targowych za Żelazną Bramą „za jedne sześćdziesiąt groszy", oświetlanej raz na czerwono, to znowu na zielono lub na fijołkowo, najczęściej zaś — prawdopodobnie dla spotęgowania nastroju — wcale nie oświetlanej i kręcącej się po ciemku, odgrywano poszatkowaną na drobniusieńkie kawałeczki tragedję szekspirowską. Ledwie aktorzy zdążyli wypowiedzieć parę zdań, ledwie publiczność zdążyła się oswoić z dekoracją i zainteresować dialogiem — scena rozpoczynała kręcić się na nowo, odwracając uwagę widzów od tekstu sztuki i skupiając ją na wirujących w mroku sylwetach rusztowania dekoracyjnego.

Pan Śliwiński umeblował obficie scenę schodami. Najwięcej schodów urządził w lesie. Można oczywiście i tak. Ale czy trzeba? Z równą słusznością możnaby w lesie urządzić naprzykład windę. Byłoby to przynajmniej coś oryginalnego. Schodów napatrzyliśmy się na scenach warszawskich do syta. Przez szereg sezonów ani jedna rewja nie mogła się obyć bez schodów. Widzieliśmy na schodach sąd nad Samuelem Zborowskim. Do dzisiaj dnia wzdrygamy się na wspomnienie owej wizji. Widzieliśmy również na schodach polującą Elżbietę w „Marji Stuart" Schillera. No, ale ten las mógł przynajmniej uchodzić za park. Schodami jesteśmy znudzeni. Mamy dość schodów. Prosimy na przyszłość o cośkolwiek innego. Schody (zwłaszcza w lesie) wypraszamy sobie jak najkategoryczniej.

Aktorów poubierano w kostjumy bardzo różnolite. Jeden od sasa, drugi od lasa. Jedne fantastyczne, inne znowu mniej lub więcej historyczne. Hełmy Lohengrinów kłóciły się z misiurkami Piastowiczów. Zawiszowie czarni nie harmonizowali z damami pikowemi. Sprawiało to wrażenie nie tyle stołecznego teatru, ile raczej prowincjonalnej maskarady. Należało przecież tę garderobę jakoś ujednolicić: Zdecydować się na jakiś styl.

Rolę główną odtworzył Józef Węgrzyn. Trudno by było wymarzyć sobie właściwszy wybór aktora do tej roli. Ale jeśli się upatrywało Węgrzyna na Króla Lira, to trzeba mu było dać rolę parę miesięcy temu i pozwolić ją starannie przygotować. Roli Króla Leara niepodobna zaimprowizować. Jest to rola bardzo trudna, wzniosłość jej bowiem o krok jeden zaledwie graniczy ze śmiesznością. Nic łatwiejszego niż patos Lira strywializować. Niepodobna uznać za najbardziej wskazany do tej roli trening błaznowania w sztuce Buss-Fekety'ego. Węgrzyna należało oszczędzać. Otrzymawszy rolę do wystudjowania bezpośrednio niemal przed próbami, nie był w stanie należycie jej przygotować. Miał parę momentów szczęśliwych, niektóre tyrady wygłosił w sposób bardzo zajmujący. Ale najlepsze momenty jego gry zostały zmarnowane przez reżysera, który z piorunami przekleństw Lirowych kazał konkurować piorunom elektrycznym. Oczywiście w walce elektryczności z poezją zwyciężyła elektryczność. Poezja zginęła prawie doszczętnie, wypłoszona reflektorami i innemi *trick*'ami. Najwięcej staranności i pieczołowitości reżyser włożył w opracowanie najsłabszych stosunkowo pod względem poetyckich scen utworu. Scenę naprzykład wyłupienia oczu hrabiemu Gloucesterowi, którą bez najmniejszej szkody dla całości widowiska można było dyskretnie przytuszować, przenieść za scenę, a nawet całkowicie zeskamotować—wypieszczono z największym stosunkowo pietyzmem. Nie oszczędzono nam ani jednego jej szczegółu. Starannie również bardzo potraktowano wszystkie pojedynki. Okładano się mieczami aż miło. Szkoda, że jeszcze nie posunięto się do nabijania sobie prawdziwych sińców i do rozlewania na scenie wody zabarwionej na czerwono. Podobno za czasów szekspirowskich praktykowano to często, ku wielkiemu zadowoleniu londyńskiej gawiedzi.

S. J. G.

MUZYKA

FILHARMONJA.—Słuchanie symfonji Emila Młynarskiego, odegranej na inauguracyjnym wieczorze Filharmonji Warszawskiej, nasunęło wiele refleksyj, zmusiło do dyskusji, wreszcie w wyniku — wyjaśniło wiele dręczących nieraz, dosłownie, kwestyj. Utwór zmarłego niedawno świetnego dyrygenta oraz tylko poprawnego kompozytora, jest przejawem tęsknoty patrjotycznej, zjawiska tak zrozumiałego dla pokoleń, którym nie dane było oddychać pełnią narodowego życia. Przeplatanie utworów motywami polskiemi, robienie, wyraźne robienie dzieła programowo polskiego, gromadzenie nie tak rasowych, jak przedewszystkiem charakterystycznych dla pojęcia polskości, cech i znamion, oto forma owej tęsknoty w ostatnich dziesiątkach lat przed odzyskaniem niepodległości. Piszę „...w ostatnich dziesiątkach lat", gdyż w zupełnie inny sposób przejawiała się ona w utworach Chopina i Moniuszki. W okresie, gdy krytyka rozpaczała nad linją rozwojową talentów „Młodej Polski", gdy z patosem rzucała gromy na Karola Szymanowskiego, za to, iż ten „zaprzedał" swą twórczość Niemcom (tak! tak!), kwitła, niestety, w kraju muzyka polska, której rodowód należałoby wywieść od nieudanej „Polonji" młodocianego Wagnera, przeprowadzić potem poprzez całą twórczość niemiecką, by skończyć wreszcie na Ryszardzie Straussie. Cały ów okres muzyki programowo-„swojskiej", opatrzonej patrjotycznemi etykietkami, był w gruncie rzeczy *„made in Germany"*. Nie umniejsza to wcale moich pojęć o rzetelnej, prawdziwej polskości jej twórców, nie zdawali sobie poprostu sprawy z tego, co czynią. Intencje były jaknajlepsze, brak natomiast, zupełny brak koncepcyj.

I błogosławieństwem, ogromnem błogosławieństwem, stał się ów potępiony początkowo modernizm, któremu taż sama patrjotyczna opinja nalepiła, ni w pięć, ni w dziewięć, markę żydowską, rozpływając się jednocześnie nad mdłym Mendelssohnem, i grzęznąc po uszy w powodzi złego smaku, w którym *magna pars* była właśnie... mahlerowska. Rola żydów w tworzeniu nowej muzyki jest bardzo niewielka; Schönberga należy już zaliczyć w poczet twórców dnia wczorajszego, a tembardziej i francuskiego Ravela.

Mimo komponowania na modłę niemiecką, muzyka polska z okresu tych lat dziesiątków, o którym wspomniałem, w porównaniu z twórczością powojenną zastanawia. Rodzi się pytanie, dlaczego po roku 1918-ym załamał się „kurs patrjotyczny". I tu nasuwa się na myśl mała książeczka, książeczka — dokument, Żeromskiego „Snobizm i postęp". Nie łatwo zapomnieć słów tam zamieszczonych, nie łatwo uporać się z zarzutami, które w sposób kategoryczny postawiła sztuce. A jednak chciałoby się bodąj część ich odeprzeć (wszystkich jednak nie sposób, w większości są, niestety, słuszne).

Dlaczego więc zmienił się ton naszej twórczości po odzyskaniu niepodległości? Po pierwsze, nasycono głód marzeń całych pokoleń, po drugie, zabrakło genjusza, co to by mógł bez patosu i ckliwych mdłości, obrzydzających powróconą wolność, mówić o dokonanej przemianie (pamiętajmy, że nawet przecież na ustach Kasprowicza „rzadko się jawił" wyraz Ojczyzna, tak się przed nią korzyła wielkość, prawdziwa wielkość poety), po trzecie, wszyscyśmy nareszcie poczęli żyć normalnie i dozwolone nam było już się zająć i tem, co nie wkraczało koniecznie w zakres ściśle, programowo-narodowy, wreszcie — i to najważniejsza — doszliśmy do koncepcji, że nie sfabrykowana w niemieckim tyglu treść, tkana szczątkami naszych motywów, decyduje o polskości, ale rodzaj instynktów, ich skażenie lub zdrowie. Dotarcie do tej niewątpliwej prawdy jest skutkiem chwil głębokiego zastanawiania się nad istotą narodu, wreszcie napotkania w drodze do idealizmu na zapomniane, pogardzane, odrzucane kiedyś czynniki irracjonalne, z pod których władzy, mimo wolnej woli, nie sposób się nam wydobyć.

„Mimo wolnej woli..." Dotyczy to już jednak innego całkiem problemu, przekraczającego rozmiary i treść recenzji. Rzecz prosta, iż tu muszę postawić już kropkę. Może nagle, niespodziewanie a przeto i niezręcznie, niemniej jednak — koniecznie.

W. NARUSZ

Nie skąp pieniędzy na pracę narodową!

POKŁOSIE

ŚWIATŁA UBOCZNE

ROZMAITE aspekty moralne i materjalne obecnej wojny afrykańskiej zostały już w „Myśli Narodowej" wszechstronnie oświetlone, może jednak będzie pożyteczne zwrócić uwagę na niektóre zjawiska, jakie niejako ubocznie w tym splocie konfliktów się ukazują.

Jeden z polityków angielskich, bodajże lord Curzon, zmarły przed jakiemiś dziesięciu laty, pisząc książkę o kolonjalnej potędze Wielkiej Brytanji, umieścił jako *„motto"* do swego dzieła zdanie, że „Do pomyślności rodzaju ludzkiego na ziemi przyczynia się, po Opatrzności, najwięcej Imperjum Brytyjskie".

Chełpliwe to zdanie i nie znajdzie napewno jednomyślnego uznania w świecie. Natomiast ostatni zatarg Anglji z Włochami uprzytomni napewno wyraźniej, niż to dotychczas miało miejsce, całemu światu fakt, że na kuli ziemskiej niepodobna się ruszyć, nie natrafiając na takie lub inne „interesy" angielskie. Anglja jest wszechobecna, ale ta jej właściwość będzie niewątpliwie odczuwana coraz silniej przez wszystkich i oczywiście nie w tak pochlebny sposób, jak to przedstawia lord Curzon.

Objektywna ocena położenia Włoch każe brać pod uwagę to, że jest to kraj bardzo silnie zaludniony (135 osób na kilometr kwadratowy, a więc prawie tak samo jak w Niemczech, a bez porównania więcej niż u nas, liczących tylko 86 ludzi na kilometrze), posiadający naogół ziemię dość lichą, a w dużej części nawet zupełnie bezpłodną, pozbawioną przytem zasadniczych bogactw mineralnych, przedewszystkiem węgla i żelaza, potrzebnych do rozwinięcia przemysłu, który dałby zajęcie nadmiarowi ludności. W przeciwieństwie do Anglików, zostawiających ogromną część swej ziemi bez użytkowania w postaci parków, terenów do polowań i t. d. Włosi zużytkowują pracowicie każdą piędź, nadającą się do jakiejkolwiek uprawy, a w ostatnim dziesiątku lat z wielkim nakładem pracy przygotowali pod kulturę rolną wszystkie bodaj nieużytki, między niemi słynne, od wieków leżące odłogiem bagna pontyjskie — a mimo to coraz im ciaśniej u siebie. Dawniej ludność szła masowo na emigrację; dziś droga ta jest przeważnie zamknięta, a zresztą rosnące poczucie godności narodowej nie chce godzić się nadal ze stratą setek tysięcy ludzi własnej krwi na rzecz obcych. Dla nas, którzy prowadzimy, niestety, oddawna ten kosztowny i poniżający eksport ludzi, jest to uczucie bardzo zrozumiałe.

Włosi muszą się tedy oglądać za jakiemiś nowemi ziemiami. Jest ich dość na świecie, ale gdzie się ruszyć, tam już usadowiła się przedewszystkiem Anglja. Nie odda oczywiście nic z zajętego przez siebie, ale nawet nie pozwala się zbliżyć do granic swych kolonij, czy też do swych linij komunikacyjnych. Gdy teraz Mussolini podjął próbę zdobycia nowych terenów, Anglja nietylko sama się temu sprzeciwia, lecz nie waha się wciągać do obrony swych interesów całego świata, mimo, iż jasne jest, że to może pogrążyć ten świat w odmęt nowej wojny powszechnej, z której niewiadomo co ocaleje.

Czy wobec tego nie może wśród narodów rosnąć poczucie, że Anglja nie jest, jak twierdzi lord Curzon, czemś w rodzaju bezpośredniego pomocnika Opatrzności w opiece nad rodzajem ludzkim, lecz zawalidrogą, rozsiadłym wpoprzek wszystkich gościńców światowych, czerpiącym z tego wielkie bogactwa i broniącym dostępu innym. Opinja angielska odżegnywała się od wspólnoty z resztą narodów, traktowanych zawsze jako *„dirty foreigners"* i dziś również najpopularniejsze tam jest stanowisko wyspiarskie, pragnące neutralności wobec spraw kontynentu i czyhające tylko na sposobność wyciągnięcia korzyści ze swarów i zatargów innych narodów. Może się to stać dla samej Anglji fatalne, bo bezpieczna ongiś wyspa przestała dziś być wolna od obaw skutecznego ataku, a z czasem może *mutatis mutandis* wytworzyć się wobec Anglji taki sam nastrój, jaki zapanował przed rokiem 1914 wobec Niemiec. Tembardziej, że za pozorną wyspiarską neutralnością kryje się bardzo nieraz daleko idące mieszanie się „kawalerji św. Jerzego" w sprawy obce.

Taka jest jedna z refleksyj, narzucających się z przebiegu dzisiejszego konfliktu, który jeszcze niewiadomo, czem się skończy.

Ale zjawiska i wydarzenia historyczne nie są oczywiście eksperymentami laboratoryjnemi, w których eliminuje się sztucznie działanie wielu czynników, żeby umożliwić zbadanie wpływu tylko jednego z nich. A więc i w obecnej chwili działa cały splot tendencyj, prądów i sił, nieraz ze sobą sprzecznych i ciągnących w rozmaite strony. Z okazji zawarcia porozumienia morskiego Anglji z Niemcami zwracaliśmy tu w swoim czasie uwagę na odżywające tendencje do odnowienia wspólnego frontu niemiecko-angielskiego i protestanckiego przeciwko łacińskiemu i katolickiemu. Otóż teraz ponownie odzywa się ta nuta i to ze strony, skąd jej należało się spodziewać, mianowicie w organie wielkich finansów, które, jak wiemy, natychmiast po zakończeniu wojny rozpoczęły pracę nad postawieniem Niemiec z powrotem na nogi. Oto londyńskie *„Financial News"* pisały z powodu niewyraźnych manewrów gryndерskich na terenie Abisynji, że rezultatem tych manewrów może być „przegrupowanie mocarstw światowych i utworzenie Anglo-saskiego i Łacińskiego obozu. Wobec niezmierzonych konsekwencyj takiego przegrupowania w sprawie abisyńskiej, sam konflikt abisyński może być bardzo rychło zapomniany".

Nie należy więc tracić z oczu i tej linji rozwojowej, tembardziej, że opiera się ona o solidne podłoża rasowe i religijne. Usiłowanie odciągnięcia Francji od Włoch w dzisiejszym zatargu nie przeczy oczywiście tej tendencji, gdyż, jak dotychczas, istniał i był czynny jedynie blok protestancki i opóźnienie powstania łacińsko-katolickiego jest mu tylko na rękę.

ARGUS

NA MARGINESIE

Ostatnia nowość sezonu, przecinanie „nowego przepustu z ulicy Marszałkowskiej ku północnym dzielnicom" urzeczywistnia się, o czem świadczą zwalone u wylotu tejże ulicy olbrzymy.

Pomysł dewastacji najstarszego parku stolicy przechodzi obojętnie obok takich zestawień: Warszawa 9 parków, 336 ha łącznej powierzchni zadrzewionych terenów, a więc na jednego mieszkańca przypada 2,76 mtr. kw. (ten sam stosunek wyraża się w Łodzi liczbą 4,2, w Krakowie 5,2, we Lwowie 5,5, w Berlinie 20, w Pradze Czeskiej 40).

Nie wymyślono przytem pilniejszej potrzeby, jak nadwątlanie ostatniego wału ochronnego, oddzielającego śródmieście od... Nalewek.

Oto... epoka tempa... (epoka tępa...)

*

Wiele hałasu wywołał w swoim czasie paszkwil na armję, reportaż z życia rekruta pióra p. Uniłowskiego, ogłoszony skwapliwie przez „Wiadomości Literackie".

A oto, jak „likwiduje się incydent" w tychże „Wiadomościach literackich", piórem poety tamecznego, p. Heszelesa:

Jak się spodziewaliśmy —

„Już do „Gazety Polskiej"
Zbyś Uniłowski, bosy
Z popiołem iść na głowie
Zmuszony — jak do Canossy..."

To się nazywa „Ostatnia Posługa"...

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ“

ZA KWARTAŁ IV

PRENUMERATA WYNOSI:

do końca roku . 9 zł.

Można również przesyłać prenumeratę do 15 zł. — bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

JUDAICA

DIDIER STAN. Rola neofitów w dziejach Polski — Cena zł. 2.50
Dla prenum. „Myśli Nar.” — zł. 1.50

KRASNOWSKI ZBIGNIEW. Światowa polityka żydowska — Cena zł. 4.—
z przesyłką — zł. 5.—

SNOPEK KAZIMIERZ. Zmienianie nazwisk. — Cena zł. 2.—

Do nabycia w Administracji
„MYŚLI NARODOWEJ“
Warszawa, Al. Jerozolimskie 17.

Należność można wpłacać na konto czekowe P. K. O. „Myśli Narodowej“ Nr. 3105.

LEKCJE GRY FORTEPIANOWEJ
JANINA PIEŃKOWSKA
UL. MOKOTOWSKA 29 m. 3
WARSZAWA TEL. 8-47-89

WAŻNE WSKAZANIA
ROMAN RYBARSKI
PODSTAWY NARODOWEGO PROGRAMU GOSPODARCZEGO
Cena zł. 2.50
Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny w Domu Książki Polskiej.

Nagrodzoną przez
POLSKĄ AKADEMJĘ UMIEJĘTNOŚCI
książkę
ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO
NORWID
Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)
NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI
„MYŚLI NARODOWEJ”
AL. JEROZOLIMSKIE 17
KONTO P.K.O. Nr. 3.105

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNĄ. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.